

745493 X 27

DOKUMENTY

JANUARY GRZĘDZIŃSKI

MAJ 1926

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1965

DOKUMENTY

JANUARY GRZĘDZIŃSKI

WYDZIAŁ KULTURY

MAJ 1926

WYDZIAŁ KULTURY

INSPEKTORAT WYDZIAŁU KULTURY

ul. Św. Anny 10, Warszawa

TEL. 2-407

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM CXIX

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)

DOKUMENTY

JANUARY GRZĘDZIŃSKI

MAJ 1926

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1965

DOKUMENTY

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018155905

MAY 1956



I 745499



INSTITUT LITTÉRAIRE

© Copyright by INSTITUT LITTÉRAIRE, S.A.R.L., 1965

1966W420





PRZEDMOWA AUTORA DO II-GO WYDANIA

W jednym ze swych uroczych przemówień do dawnych towarzyszy broni legionowych bojów Józef Piłsudski mówił o tym, że przed każdą decyzją powstaje pytanie czy pora dobrze została wybrana i zawsze słyszy się głosy „za wcześniej, za wcześniej”. Trzeba im ustąpić albo je pokonać.

Myszę, że Historia niezawsze przyznaje im rację — za spóźnione tak samo trzeba płacić jak za przedwczesne działania.

Kiedy za namową redaktora Czarskiego wyszły drukiem niektóre luźne kartki mego pamiętnika z majowych dni 1926 r. w „Tygodniku Ilustrowanym”, wywołały one tak zwane uczucia mieszane i to tym jaskrawiej różne, im szersze wzbudziły zainteresowanie. Dla wielu natomiast mówić o wydarzeniach tej wagi, których uczestnicy żyli, było przedwczesne. Historia, jak wino, musi się ustać a jej wydarzenia — nabrać perspektywy.

Były to luźne jednak kartki z pamiętnika bez żadnych ambicji do bibliograficznej wartości. Luźne kartki z całości, której dziś już nie ma i gdybym się nie dał namówić Czarskiemu znikłyby i one w niepamięci, jak wiele w niej zginęło świadectw ludzkiej a zwłaszcza polskiej przeszłości.

Były to przecież dokumenty chwili pisane na gorąco, zapewne nie kompletne, bo czasy wymagały ode mnie czynu i nie zawsze zostawiały mi potrzebny margines do pisania. Miały więc one luki, te luki kompensowała ich bezpośredniość. Parę lat później wydałem je w książce Gebethnera i Wolffa. Marszałek żył jeszcze. Nie mówiłem z Nim o nich, ale z Belwederu dochodziły mnie głosy, że rzekomo nie należy ujawniać tych minionych chwil, że wymaga tego polityczna koniunktura. Nie przyznałem im racji i do nich właśnie kierowany jest cytat Marszałka, którym kończę słowo wstępu do pierwszego wydania: „Leguny, piszcie swoje

dokumenty!" A niewielu ich pisało, a o wypadkach majowych zgoła nikt, poza bardzo drobnymi i przygodnymi wypowiedziami. Okazało się jednak — może właśnie dlatego — że dobrze zrobiłem nie słuchając głosu „za wcześniej kwiatku, za wcześniej”.

Oto gdy po 32 latach od tych wydarzeń pojawiła się pierwsza praca historyczna o nich W. Karbowskiego w kwartalniku „Wojskowy Przegląd Historyczny”, wydawanym w Warszawie, zaroła się ona od cytaty z mej książki „Maj 1926”, jako najbardziej autentycznego źródła — po drugiej stronie barykady przewrotu rolę podobną spełnia książka ówczesnego szefa sztabu generalnego, gen. Stan. Hallera.

Wydając w książce moje kartki z pamiętnika zorientowałem się, że czas miniony — blisko lat 10 — sprawiał, że dla wielu czytelników, nawet uczestników walk, ale w jakimś ograniczonym odcinku, całość przestaje być zrozumiała. Ja przecież opisywałem w ramach mojego widnokągu i nie wdawałem się w sprawy, znane mi skądinąd, a ich znajomość jest niezbędna dla powiązania wydarzeń i skoordynowania przeżyć osobistych w ogólną całość — ta bowiem tylko czytelnika musi obchodzić.

Okazała się więc konieczność zaopatrzenia kartek z pamiętnika w dopiski. Dopiski są późniejsze, ale gdybym ich wówczas nie napisał, mając możliwość pewnych wglądów i posiadania pewnych, niemożliwych już dziś relacji, i te materiały zginęłyby bezpotomnie. Szeroko otwarzyłaby to drzwi dla fałszerzy i paszkwilantów, od których dziś opędzić się jest tak trudno, ale są oni jednak moim „Majem” nieco skrepowani.

Niektóre dokumenty by z pewnością zginęły na zawsze — i tak, gdyby nie moje zdjęcie odezwy C.K. Komunistycznej Partii, ustaliłby się błędny pogląd już rozpowszechniony, że w przewidującej polityce swojej, partia ostro zwalczała przewrót od początku.

Dziś — w tym nowym wydaniu — tylko dopiski wymagają dla nowego czytelnika szerszego uzupełnienia. Rozumiem to i te uzupełnienia dodaję — autentyczność pamiętnika musi pozostać bez zmian, dotyczy on bowiem bitwy, która zadecydowała o wyniku walki o transporty wojsk na torach, którą mnie właśnie przypadło kierować. Ale uzupełnienia, które dodaję nie wypełniają całej luki historycznej. Dwie kolejne rewizje dokonane u mnie w 1964 i 1965 r. przez krajowe organy „bezpieki” pozbawiły mnie wielu bardzo ważnych dla tej sprawy maszynopisów. Można wątpić czy historia je kiedy odzyska.

CHMURY PRZEB BURZĄ

15 listopada 1925 r.

Przeżyliśmy dwa dni mocnych wzruszeń. W sobotę przyjazd z Torunia gen. Skierskiego był wielką manifestacją wdzięczności dla generała za jego szczerzy i mądry „wyrok” i żołnierskie słowa potępienia małostkowej kampanii Biura Historycznego przeciwko Komendantowi.

W ostrym sporze między Komendantem a szefem Biura Historycznego gen. Kukiелеm miała rozstrzygnąć komisja, powołana przez gen. Sikorskiego (czy Hallera), a na czele tej komisji stanął właśnie gen. Skierski.

Stary i wielkich zasług wojennych generał ten, choć nie związany z nami wspólnotą legionową, od razu wyczuł, że to nie o kwestie akademickie chodzi, lecz o obniżenie autorytetu Wodza i trafił do sedna rzeczy (i do głębi naszych serc), zdecydowanie oświadczając w swym raporcie, że „Krzywdą się Armii (przez to) dzieje!”

Wywołało to tym większy entuzjazm, że w powszechnym przekonaniu w tym sporze z Biurem Historycznym „najgeneralniejszego, jak nazywa Komendant, ze sztabów... bo w Polsce”, komisja miała wreszcie Komendanta poprzebać.

Nie wiedzieć skąd w mig rozeszła się wieść o przyjeździe Skierskiego i nie wiedzieć jak znaleźliśmy się masą całą na dworcu — oczywiście *gros* oficerów z Ministerstwa i „najgeneralniejszego” sztabu, skąd jeszcze nie wszystkich nas rozpędzono na cztery wiatry; jest to zresztą na dobrej drodze.

Po owacjach, z których generał ledwie uszedł z życiem, powiedział mi Maciesza, że nazajutrz mamy być u Komendanta — z powodu 7 rocznicy powrotu z Magdeburga.

Mniejsza o to, że rocznica już od kilku dni minęła, ale zawsze to radość być u Komendanta — a przy tym, że tak powiem bardzo *à propos*.



Od kilku dni przeżywamy ostry kryzys gabinetowy. Pan Władysław Grabski położył się ze swym gabinetem jak długi. Nic nie pomogło, że uratował kraj z anarchii po Kucharskim, że zwyciężył dewaluację, podniósł samopoczucie i dał podstawy gospodarki finansowej — nie pomogła „szczodroblliwość” p. Kauzika, który portfel pana premiera z koncesjami dla każdej partii miał otwarty. Partyj wciąż przybywało. Rozłamy tworzyły odłamy i coraz to jakieś „języczki u wagi” wyciągały się do p. Kauzika — a w portfelu musiało być coraz mniej do lizania. Sytuacja nie wesoła, zwłaszcza wobec wzrostu bezrobocia: przesilenie wciąż wisiało w powietrzu, aż się wreszcie urwało. Piastowcy zaatakowali nawet główną redutę Grabskiego, Bank Polski, okazało się bowiem, że z zapasów złota zostało tam już zaledwie 80 milionów, a walut na 9 milionów złotych!

Grabski więc leży, a tzw. „krowa władzy” wędruje z Sejmu do Belwederu i z Belwederu do Sejmu, niepewna kto ją wreszcie doić będzie — żadna partia nie ma większości i godzić się nie chcą.



Jest bardzo ważne, czy zostanie w nowym gabinecie gen. Sikorski, czy nie.

Dzięki gładkości w stosunkach parlamentarnych i ustępliwej taktyce wobec „restrykcji skarbowych” ma on licznych przyjaciół w Sejmie, a przeciwników tylko wśród zdecydowanych nie-licznych piłsudczyków. Endecy sprzyjają mu, licząc, że nie dopuści do powrotu Komendanta do armii, którego się obawiają. Projektowana przez Sikorskiego ustawa o najwyższych władzach wojskowych jest tak samo wyraźnie nastawiona przeciw Komendantowi i jego koncepcjom Wódza, jak marcowa Konstytucja była wymierzona przeciw Niemu, jako Naczelnikowi Państwa.

Trudno marzyć o kompromisie. Od czasu zerwania łoży „Honor i Ojczyzna”, którą łączyła Koc-grupę¹ z Sikorskim, przeciwnictwa coraz bardziej się zaostrzały, a w walce swej Komendant znajduje mało zrozumienia w Sejmie, my zaś niewiele Komendantowi możemy pomóc, chyba tylko manifestacjami przywiązania, jak w sobotę na dworcu i w Sulejówku w niedzielę.

1. Koc-grupą nazywano grupę Adama Koca (B. Miedziński, J. Beck, K. Stamirowski, K. Świtalski, Floyar-Rajchman i inni).

W Sulejówku — jak w ulu. W sieni płaszcz i czapki wałą się na kupę — w salonie nie ma mowy o siedzeniu. W oczekiwaniu Komendanta, koleżeńskie przywitania i to staropolskie „co tam słyhać”, za które Wieniawa grozi, że będzie bez pardonu strzelać.

Generalicja — jak się patrzy. Jest Skierski, jest też Konarzewski, są Krzemiński, Dreszer i wielu innych. Bohaterami dnia są Skierski i Stpicyński, który miał przed kilkoma dniami swój „sądny dzień” i uzbierał za artykuły w „Głosie Prawdy” obfitą porcję kar więzienia. Dworujemy sobie z niego — trudno jednak, by przy tak wybujałym temperamencie mógł Wojtek uniknąć niedociągnięć, za które ma potem... pociągnięcia.

W jednej chwili ucichł rozgwar salonu.

Komendant pokazał się w drzwiach swego gabinetu. Twarz Jego jakby wezbrała troskami — nie było w niej dobrze mi znanej u Komendanta pogody ducha.

W tej samej chwili donośnym głosem przemówił Dreszer. Słyszałem wiele jego doskonałych przemówień jeszcze z czasów wojny światowej — żadne nie zrobiło na mnie tak silnego wrażenia — myśl biegła po cięciwach, a słowa ujmowały ją w dojrzałe skróty.

„Nędza zagląda już pod nasze strzechy i kołacze do naszych okien, Komendancie...”

W tych akordach był nie tylko obraz ponurej rzeczywistości, ale brzmiała skarga opuszczonych żołnierzy. Mowę zamykało wezwanie: „Składamy Ci, Komendancie, nie tylko nasze serca ale wierne, w zwycięstwach zaprawione szable!”

Słowa te, z siłą wypowiedziane, zrobiły ogromne wrażenie, a cisza, która zapanowała po nich — wrażenie to pogłębiała, jakby niewidzialna ręka ściągała cięciwę łuku. Oczekiwaliśmy, że zaraz padnie rozkaz-strzał.

Komendant odpowiedział. Podziękował za przybycie. O nędzy wzrastającej w Polsce nie mówił. Może nie chciał z nami o tym mówić, a może nie uważał tych materialnych trosk za dość ważne, by o nich mówić wobec problemów moralnych, o których myślał. Mówił o tym, że w odrodzonej Polsce nie odrodziła się dusza Polaka. Jest to największym jego zawodem.

Nadużycia swobody stwarzają bezsilność narodu. Chciał Komendant, by siła moralna bez gwałtu leczyła rany narodu — teraz jednak zaczyna wątpić czy było to słuszne i czy nie osłabia państwa ten, kto karzącą dłoń sprawiedliwości zatrzymuje...

Mówił do nas, że niosąc nasze głowy pod kosę śmierci, da-

liśmy świadectwo naszej odrodzonej duszy. Cytował Skierskiego z jego raportu:

„Honor — to bóg wojska. Nie masz go — kruszeje potęga wojska”, i wezwał nas byśmy „współpracowali ze sobą dla ochrony tego honoru w drogiej nam służbie dla ojczyzny...”

Chciałbym przypomnieć dokładniej odpowiedź Marszałka na słowa Dreszera. Rozmijała się ona z mową Dreszera, mimo informacji, którą miałem od Kazka Świtalskiego, że on ją przedtem, przez Kazka właśnie, uzgadniał z Komendantem. Swej odpowiedzi jednak Marszałek widać z Kazkiem nie uzgadniał, bo nie odpowiadała na słowa Dreszera. Oto jej niektóre fragmenty.

..., „Tyleśmy wszyscy przeboleli i tak przemęczyli swe dusze, zgniezione cieniem mrocznej bezsilności w dobie po ostatnim powstaniu narodu, że gdy chwila odrodzenia przyszła — a przyszła jednak nagle i niespodziewanie (oczywiście dla biernej większości Polaków — uwaga moja) — zdawało mi się, że na straży tego odrodzenia stoją wielkie dusze z epoki dawnej mocy Rzplitej i z mniej dawnych porywów do odrodzenia, które umiały ślady naszego bytowania w świecie ongiś zaznaczyć nie tylko dziełem miecza lecz i wielką kulturą, szanowaną ongiś w całym świecie...”

Myślał, że ...” musi z tym formalnym odrodzeniem iść odrodzenie duszy Polaka...” Dalej mówił: „musiałem rachować nie tylko wierne wasze ręce i głowy lecz i siły tych, co w rękach szabel nie mieli i żyli nie waszymi w polu głowami i pracowali nie waszymi zbrojnymi w stal rękami...”

Mądra była ta mowa ale sprawiła nam zawód. Jak młodzi Kiemlicze z sienkiewiczowskiego Potopu, czekaliśmy odpowiedzi na pytanie: „Ociec, prac?”

A tej odpowiedzi nie było ani wówczas, ani później, aż do pierwszych strzałów przewrotu.

Za to bodaj już nazajutrz gabinet Władysława Grabskiego podał się do dymisji; z powodu konfliktu z Bankiem Polskim i z powodu min. Władysława Sikorskiego, z którym Marszałek rozmawiać nie chciał, jako z jednym z twórców ustawy o władzach wojskowych. Marszałek złożył w Belwederze ostrzeżenie przed dysponowaniem teką ministra spraw wojskowych bez porozumienia z nim. Wobec tego w nowym gabinecie Al. Skrzyńskiego tę tekę objął „zastępczo”, jako kierownik, generał Majewski. Od kilku lat zakorzeniło się jednak przekonanie, że wojsko winno stać z dala od partyjnych targów. Po dalszych i dłuższych pertraktacjach Belwederu z Sulejówkiem tekę tę objął gen. Lucjan Żeligowski. Gen. Lucjan Żeligowski należał do tych — nielicz-

nych zresztą — Polaków, oficerów rosyjskich, co w służbie carskiej wielką przypisywali wagę do swej godności Polaka i zachowywali niezależność przekonań postępowych i liberalnych. W czasie rewolucyjnego zamętu w Rosji dowodził dywizją polską z Odessy, którą potrafił ocalić dla kraju. Zyskał sobie szybko dużą popularność w wojsku i sympatię Marszałka Piłsudskiego, dla którego wykazywał szczerą szacunek bez cienia nagminnego karierowiczostwa. Wypad na Wilno i stworzenie tzw. Litwy Środkowej jest ściśle z nim związane. Żeligowski był autorem ciekawych książek o kampanii 1920 r., a potem, gdy już wyszedł z wojska, nawet pewnej książki rolniczej. Wówczas, jako senator z Wilna, zaznaczył się śmiałością krytyki marszałka Rydza-Smigłego w r. 1938. W listopadzie 1925 r. kandydatura gen. Żeligowskiego na ministra wojska była uzgodniona z Marszałkiem Piłsudskim. Ambicją gen. Żeligowskiego było przeciąć ropiejący wrzód konfliktu o statut Naczelnych Władz Wojskowych, zapoczątkowany jeszcze przez generała hr. Szeptyckiego i kontynuowany przez gen. Wł. Sikorskiego, jako kolejnych ministrów spraw wojskowych w okresie Sulejówka. Oczywiście napotkał natychmiast na ostry opór oficerów z armii zaborczych, zwłaszcza austriackich.

16 marca 1926 r.

Dziś znowu spotkałem się w Saskim na obiedzie z Bronkiem Pierackim. Nie było Garczyńskiego i mogliśmy obszerniej porozmawiać.

Uważałem go, jako Szefa Gabinetu Ministra Spraw Wojskowych, za człowieka odpowiedzialnego za politykę gen. Żeligowskiego tymczasem w personaliach zmian prawie nie widać, cały szereg „wylimnowanych” poprzednio naszych oficerów znajduje się z dala od Warszawy, albo zgoła bez przydziału. Dotychczas właściwie tylko gen. Dreszer „zesłany” do Poznania za mowę w Sulejówku powrócił do Warszawy. Beck siedzi w jakimś banku, Wieniawa gdzieś w Ostrogu i td.

Nic więc dziwnego, że Komendant mówi, że panują u nas wciąż „najgorsze zwyczaje austriackiego sztabu generalnego...”

Broniek tłumaczył się ostrożnością polityki i pewnym oporem Sztabu Generalnego, w którego rękę są przeciw personalia. Konieczne są zmiany w Sztabie. Już w grudniu odszedł Stan. Hal-ler, jednak na razie jest prowizorium — (szefem p. o. jest gen. Kessler). Z tego co mówił Pieracki wynika, że generał Żeligowski nie łatwy ma żywot w tym dziwnym gabinecie Skrzyń-



skiego, gdzie premier podróżuje, a gdy chodzi o Komendanta, to można się opierać tylko o Ziemięckiego lub Moraczewskiego (P.P.S.) — Moraczewski ustąpił, a gen. Żeligowskiego trzeba powstrzymać od tego.

Fatalna „ustawa o władzach wojskowych” wciąż pokutuje w Sejmie! A Komendant powiada, że przy takiej ustawie trzeba na wodza szukać osła lub szui. Zresztą to nie są jedyne kłopoty generała.

W kraju coraz gorsza sytuacja gospodarcza i rząd redukcje budżetowe chce odbijać na wojsku. Ostatnie redukcje gąz i redukcje urzędników nie pomogły — brnie się dalej. A przecież te redukcje min. Zdziechowskiego gdzieniegdzie przekraczały 50%!

Złoty od załamania się w grudniu stale spada dalej.

W budżecie wojska skreślono 50% pozycy] na wychowanie wojska, zredukowano kursy, szkoły, zakłady umundurowania i szpitale — armię się demotoryzuje, redukując jednostki samochodowe, część lotnictwa. Musimy zaniechać w tym roku ćwiczeń rezerwistów, a rocznik 1903 r. zwolnić po 13 miesiącach służby, bo nie ma pieniędzy! Przemysł wojenny stoi po prostu przed zagładą — przedsiębiorstwa prywatne bankrutują i proszą nas o wykup! Katastrofa ogarnia obronność kraju, choć Niemcy i Sowiety wciąż się zbroją. To cudze piwo właśnie my musimy wypijać — powiada Bronek. Grozą tej sytuacji posłowie się nie przejmują — piastowcy, chadecy, grupa Dąbskiego nawet, żądają dalszej redukcji budżetu armii!

W tych warunkach, jeżeli Żeligowski ustąpi przyjść może tylko karierowicz lub ograniczony żołdak.

Unikamy nowego przesilenia, które nic dobrego nie da a trwać będzie znowu ze dwa tygodnie!

Jedyne rozwiązanie to nowy sejm, ale „suwereni” sami tylko mogą się rozwiązać lecz na próżno namawiają ich do tego Kaze]k, Świtek i Zyndram (Świtalski, Miedziński i Kościalkowski) — boją się wyniku niepewnego wyboru, diet szkoda — no, i „jakoś tam będzie”.

Bronek mimo zwykłego spokoju był tego dnia szczególnie podenerwowany.

„Ale jednak tą drogą daleko nie zajdziemy — powiadam — to przecież defensywa!...”

„To są działania opóźniające” — odpowiedział Bronek.

26 marca 1926 r.

W Ziemiańskiej na Mazowieckiej zastałem Miedzińskiego. Był

Kniaziolucki, Wyżeł, Beck, Koc, Stamirowski, Krzewski, Sławek — no i cały prawie „Oddział VI Sztabu Generalnego”².

Było trochę „kuzynów” z prowincji, jak Bortnowski, zasięgnąć „języka”, który na ogół w Ziemiańskiej nie jest zbyt powściągliwy.

Zaatakowałem Miedzińskiego za losy interpelacji sejmowej w sprawie lotnictwa. Była ona tak rzetelnie opracowana, że gen. Zagórski powinien był się położyć ostatecznie.

Owoc naszej, wspólnej z Rayskim, iście mrówczej (bo robionej w mieszkaniu kpt. Mrówki) pracy, interpelacja dawała pełny obraz bluffu lotniczego, już poza skandalem Frankopolu — demaskowała cały ten kostium poliszynela przeróżnych typów według gustu gen. Zagórskiego, — samoloty bez hangarów, raidy bez sensu — i przedstawiała całe niebezpieczeństwo takiej reklamarskiej gospodarki w lotnictwie. U Miedzińskiego w mieszkaniu kilkakrotnie omawiałem różne dodatkowe argumenty. Kościakowski miał w tej sprawie przemawiać.

W rezultacie Zagórski ocalał, a co najważniejsze, że gospodarki w lotnictwie z ramienia rządu bronił gen. Norwid. Żgadnij, Jezu, kto Cię bije...

I to wówczas gdy Wojtek Stpiczyński 17 marca wygrał wreszcie proces z Zagórskim, w którym go przecież oskarżał nie mniej i nie więcej jak o prowadzenie wywiadu austriackiego w Legionach przeciwko legionistom i mimo, że Zagórski został zawieszony w czynnościach po tym wyroku.

Miedziński wrzusa ramionami. Wiedział, że Zagórski ma swych możliwych przyjaciół — jednak też i on nie spodziewał się takiej obrony „z urzędu”. W każdym razie Zagórski pozostanie w zawieszeniu... — pociesza.

— Jednym słowem trzęsiemy się jak furką żydowską po bruku — powiadam. — Szkoda wysiłku.

Na to wyszukany akcentem białoruskim Miedziński:

— Po prostu pewnie żywiouka u pole zabadiała sia...

19 kwietnia 1926 r.

Ministrowie z P.P.S. nie wytrzymali zbyt paradoksalnej sytuacji i wystąpili z gabinetu Skrzyńskiego.

Widocznie korzyści z udziału w bezradnym rządzie wobec moralnych strat jakie ponosiła P. P. S. z tytułu odpowiedzialności za sytuację w kraju nawet się nie zrównoważyły.

2. Sztab miał pięć oddziałów — szóstym nazwano przesiadujących w kawiarni Ziemiańskiej oficerów I Brygady, przeważnie bez przydziałów.

Nędza i bezrobocie czynią wciąż gwałtowne postępy, złoty systematycznie spada, coraz częściej powtarzają się rozruchy uliczne, a w Kaliszu ostatnio nie tylko padło siedmiu policjantów, ale został ranny prezydent miasta!

Tymczasem aby nie drażnić witosowców „Robotnik” chował hasła „precz z drożyzną — obniżyć ceny zboża” — nic dziwnego, że masy uciekają już pod opiekę komunistów. Po zerwaniu tego dziwnego konkubinatu lokarneńskiego P.P.S. odzyska swobodę ruchów i może wzmocni akcję za rozwiązaniem Sejmu, którą dotąd prowadzi tylko Wyzwolenie, potykając się o różne rozłamy.

Zdaniem Bronka Pierackiego, którego dziś widziałem przelotnie, dla nas jest gorzej — trudno będzie utrzymać Żeligowskiego w gabinecie, gdzie nie ma żywej duszy życzliwej. Wolałby Bronek *status quo*, bo „lepsza zła zgoda, niż dobra wojna”.

Leonek K. jest innego znów zdania: „patrzy różowo w przyszłość, bo gorzej już być nie może”. Czy może być większe zabagnienie, kiedy już nie tylko witosowcy żerują na bankach państwowych i monopolizują spółki leśne i jajczarskie, ale i dostojni dygnitarze wojskowi w czynnej służbie prowadzą przedsiębiorstwa, które „zaopatrują wojsko w furaz...” oczywiście dygnitarze od broni jezdnych, co furazu potrzebują! (afery „Zrzeszenia Pracy”).

Dziś wieczorem byłem z matką u Świtalskich — *rendez-vous* Koc-grupy i tzw. Klubu Leokadii. Było dość rojno. Nastrój jednak dość alarmujący. Zwłaszcza wiadomości ze świata politycznego, które przeważnie przynoszą nasi ambasadorowie sejmowi (Mieckiński, Kościakowski i inni) są dość ponure. Panuje przekonanie, że przesilenie gabinetowe będzie wyjątkowo ciężkie i że Witos zdecyduje się na rządy silnej ręki z endekami. Wojsko obsadzi gen. Sikorski albo może Szeptycki, lub St. Haller. Sejm się rozwiąże, zmieni ewentualnie ordynację, a starostowie zrobią wybory galicyjskie i znajdzie się większość dla rządów reakcji i korupcji. Z nami — będzie zrobiony „porządek”.

Komendant rzekomo jest o tym powiadomiony i będzie czuł by armia nie trafiła w obce ręce — to jest bowiem grunt. Wczoraj już Komendant był w Belwederze. Zresztą wierzymy w Komendanta i... jest wesoło zawsze u Świtalskich, zwłaszcza gdy Alf Tarczyński swe dziwy wyśpiewuje „o donnach”, a Kazek Świtalski produkuje charlestona.

11 maja 1926 r.

Więc mimo wszystko stało się. Jest Witos. Rząd polityki

najmniejszego oporu i największej prywaty, rząd redukcji wojska i zaniedbania państwa ma za sobą sejm.

Z rozczarowań szczerego demokrata i niepodległościowca największym chyba w Polsce odrodzonej jest widzieć jak sukmany Kościuszki — symbol jasnej przyszłości polskiej — zmieniają się w Witosowe koszule bez krawata, niosące dyktaturę egoizmu i materializmu, rozumujące tylko argumentami grosza i pięści?

Drwiący z Komendanta wywiad Witosy w gazecie Szydłowskiego („Nowy Kurier Polski”) dziś zaledwie na progu Namiestnikowskiego Pałacu — to zapowiedź tej polityki bez... krawata.

Czy dla Witosy usunięcie się Komendanta w zacisze Sulejówka było kiedykolwiek czymś innym jak oznaką słabości?

Zdało ci się, Komendancie, „cnotą leczyć rany niewoli” i „miecz sprawiedliwości na haku zawieszać”?

Cnotę poczytano Ci za słabość, a zamiast miecza Twego, obcas Witosowego buta będzie nową wychowywać Polskę...

Point de rêveries, Messieurs...

NA ULICACH WARSZAWY

12 maja 1926 r.

Po źle przespanej nocy zbudziłem się dość późno. Pół nocy przechodziłem po mieście. W kawiarniach i na ulicach podniecenie. Grupy młodzieży uwijają się po lokalach z okrzykiem „Niech żyje Marszałek!” lub „Precz z Witosem!” Śpiewano Brygadę. Publiczność wstawała. Opornych usuwano. Na ulicach gazeciarze jawnie sprzedawali numer skonfiskowany „Kuriera Porannego” z wywiadem Marszałka. Patrole policji krążyły całą noc. Ostrzeżono nas, byśmy nie nocowali we własnych mieszkaniach.

W atmosferze czuje się narastanie determinacji tłumu.

Gdy wróciłem do domu, matka jeszcze czuwała. Czekwała na mnie. Miała telefon od Pani Marszałkowej, by odwołać jutrzejszy raut w Ratuszu na fundusz im. M. Paszkowskiej:

„Ziuk nie będzie i radzi odwołać”.

Rano zostałem zawezwany telefonicznie, bym przyjechał zaraz moją Cytrynką na Ordynacką. Było już około 10-ej — pogoda wspaniała. Na Ordynackiej czekali na ulicy W. Sławek i K. Świtalski. Wsiedli do wozu. Byliśmy w komplecie. Cytrynka moja ma trzy miejsca.

Pomknęliśmy pełnym gazem przez Rembertów do Sulejówka. Policjant na Grochowie machnął tylko ręką. Wkrótce minęliśmy tor w Rembertowie.

Zaraz przy stacji w Rembertowie zatrzymał nas Ulrych w czapce oficera KOP'u. Powiedział nam, że Komendant już wyjechał samochodem do Belwederu żądać natychmiastowego ustąpienia Witosy.

Ulrych trzyma w tej chwili stację kolejową, gdzie oczekuje się przybycia 22 p.p. z Siedlec. Są wiadomości, że pułk już jedzie, nie zatrzymując się na stacjach pośrednich.

Za stacją na szosie do Sulejówka stoi przy rampie 7 pułk ułanów z Mińska Mazowieckiego pod dowództwem płk. Kaz. Stamirowskiego — po drugiej stronie szosy rembertowski batalion manewrowy.

Pojechaliśmy do Stamirowskiego — zastaliśmy go z Szaszą (Rutkowski mjr. dow. 2 komp. baonu manewrowego). Kazik, wesół i szczęśliwy, skarży się tylko na niewyspanie. Opowiada z werwą przeżycia ostrej doby. Już wczoraj przybył z pułkiem w południe, rzekomo na zarządzone przez Marszałka ćwiczenia. Stał w lasku pod Wesołą.

Wystawił placówki i pojechał meldować się osobiście w Sulejówku.

Tam Komendant kazał mu meldować się u generała Pricha, komendanta garnizonu Rembertów, udał się więc doń popołudniu i meldował mu, że przybył z pułkiem na ćwiczenia z ostrym strzelaniem i prosi pana generała o poligon na jutro, tj. na 12 maja. Generał Prich nie był najwidoczniej tym zachwycony i odpowiedział, że właśnie jedzie do Warszawy, więc zwróci się po instrukcję do p. Ministra¹.

Po kilku godzinach, już pod wieczór, przebywający na strzelaniach w Rembertowie ze swą Podchorążówką płk. Paszkiewicz wysłał gońcem list do Stamirowskiego, że pan generał Prich odmawia poligonu, rozkazuje powrót ułanów do Mińska Mazowieckiego, a płk. Stamirowski jutro zamelduje się przy raporcie u p. Ministra w Warszawie!

Gońca, jak Pan Bóg przykazał, wzięły ułańskie placówki do niewoli, a na zakończenie dnia wywiązała się telefoniczna rozmowa Komendanta z Paszkiewiczem, w której Komendant „postawił go na właściwe miejsce”. Rechotaliśmy ze śmiechu, gdy Stamirowski naśladując głos Komendanta powtarzał z namaszczaniem niektóre barwniejsze zdania i soczyste *epiteton ornans*, których próżno szukać w najbogatszym słowniku Gargantui i Pantagruela.

W nocy Stamirowski wysłał Floyara² do Siedlec, by Franek Sikorski³ i Krok Paszkowski⁴ natychmiast z 22 pułkiem walili do Rembertowa; Szaszy Rutkowskiemu kazał alarmować o 3-ciej w nocy baon manewrowy i objąć nad nim dowództwo. W hełmie Szasza nabrał wyraźnie marsowego wyglądu.



1. gen. Malczewskiego.

2. Floyara-Rajchmana.

3. płk. Fr. Sikorski, d-ca p. d. 9 dyw. p.

4. płk. Paszkowski d-ca 22 p. p.

Tworzyło się zgrupowanie, które miało dać możność Komendantowi reagować na rządę Witosą.

Ulrych został szefem sztabu grupy.

Komendant miał jechać do Warszawy z kolumną tego wojska w następującym porządku: w straży przedniej szwadron 7 p. uł., potem baon manewrowy z baterią, 22 pułk piechoty i cały 7 p. ułanów.

Podobno, wobec naszej koncentracji, Paszkiewicz okopał się z podchorążówką w tzw. lasku oficerskim, wystawił ciężkie karabiny maszynowe i czeka na atak Stamirowskiego, gdy gen. Prich pojechał konno na swój codzienny poranny spacer.

Komendant jednak, nie czekając na koncentrację swych sił, pojechał pertraktować w Belwederze — wierzy w siłę argumentów bez argumentów siły...

Odjeżdżaliśmy już szukać Go w Warszawie, gdy pod fabryką „Pocisk” zobaczyliśmy powracające auto Komendanta z nieodstępnym Wójcikiem obok kierowcy. Zatrzymałem Cytrynkę — stanął i Komendant. Kazał jechać za sobą.

W pięć minut potem byliśmy w budynku szkolnym Centrum Wyszkożenia. Komendant przywitał się z nami i po krótkiej konferencji wydał rozkazy. Z Prezydentem się nie widział. Dreszer musi zaraz zabezpieczyć mosty — kolumna z Rembertowa musi mieć wolne przejście. Sam wyruszy, jak tylko przybędzie 22 pułk.



Pomknęliśmy do Warszawy. Na Grochowie minęliśmy się z samochodem Wieniawy wraz z kilkoma oficerami. Na Ułańskiej w koszarach szwoleżerów przed mieszkaniem gen. Dreszera kilka aut, motocykl, konie.

Sławek poszedł na górę do generała. Świtalskiego zostawiliśmy w mieście, ja zostałem przy aucie, konferując z Żakiem Głogowskim⁵. Był on wtajemniczony w sytuację. Pierwsze rozkazy do koncentracji wydał Dreszer już w nocy. Ściągnął natychmiast swoją kawalerię — gdzie nie był pewien dowódców, prowadzić mieli zastępcy. Przybyć miały pułki z Mińska Mazowieckiego, z Garwolina, z Ciechanowa, z Płocka. Niektóre odległości przekraczały dzienny marsz — *gros* sił zbierze się w najlepszym razie późno po południu. Wcześniej będą Stamirowski z Mińska, Kulesza z Garwolina (około 60 km.); po 11 p. uł. pojechał Piter Głogowski⁶.

5. ppłk. J. Głogowski, d-ca 1 p. szwol.

6. mjr., zastępca dowódcy.

Szwolężerów i 1 d.a.k. postawiono od rana w stan ostrej gotowości; nie obeszło się bez incydentów. Jednego majora szwoleżerów i dowódcę d.a.k.'u trzeba było aresztować.

Z piechoty liczymy na 22 p. p. Krok-Paszkowski i 36 p.p. w Warszawie Kaz. Sawickiego; z Pułtusa ściągnie 13 p. p. Młota (płk. Fijałkowski) — jest to jednak ponad 65 km., a więc najwcześniej jutro rano.

Na żadne inne oddziały w stolicy liczyć nie można, najwyżej trochę młodszych oficerów. Dzięki mianowaniu jeszcze przez Żeligowskiego szefem lotnictwa Rayskiego liczymy ewentualnie na lotników.



Było już dobrze po drugiej, gdy wrócił Sławek i pojechaliśmy Agrykołą.

Przed samą Al. Ujazdowską zdarzył mi się pierwszy wypadek w mej automobilowej karierze: Cytrynka zamiast naprzód potoczyła się wstecz.

Zakląłem wszystkimi hiszpańskimi zaklęciami. Sławek poszedł dalej pieszo, zdaje się na „polityczną kwaterę” (Okólnik), a ja, pozostawiwszy wóz pod opieką przygodnego żołnierza, poszedłem do Łobzowianki, by alarmować telefonicznie jakieś autowarsztaty.

Niestety, w budce przy bramie rozmawiał głośno podnieconym tonem jakiś oficer policji. Słyszałem o marszu zbuntowanych wojsk i że trudno, by policja 17 komisariatu mogła je zatrzymać i tp. Zrozumiałem też, że uspokojono go, iż władze wojskowe już wydały zarządzenia i Warszawa będzie zabezpieczona.

Nie było to wcale pocieszające dla nas! Forsowanie Wisły, skoro nie da się przejść nieoczekiwanie, może być bardzo trudne. Zaalarmowanie Rembertowa już wczoraj zemścić się może fatalnie, dbałość form może wypaść nam na szkodę.

Dowiedziałem się później, że Komenda Miasta (gen. Suszyński i mjr. Ocetkiewicz) postawiła garnizon warszawski w stan pogotowia alarmowego już w południe tego dnia — nadawane jednak telefonogramy w kolejności do oddziałów dochodziły późno i w różnym czasie. Stefan Jellenta w sztabie 28 Dyw. Piechoty w Cytadeli otrzymał go dopiero po przewrocie. Tu sobie przypominam malownicze omówienia łączności na którychś naszych manewrach przez gen. Olgierda Pożerskiego z 6 armii rosyjskiej, zawsze dowcipne i z akcentem kresowym. „Ot, dawniej wysłało się z meldunkiem Kozaka z długą brodą. Kilkadziesiąt jechał „wierst” — i łączność była. A teraz co? I „cielegrafy” są, i „cielefony” a łączności jak nie ma tak nie ma”.

Odstawienie mej Cytrynki do warsztatu na Książęcej i pierwsze zabiegi zatrzymały mnie prawie do czwartej. Gorzej, że remont potrwa dwa dni! Pęknięta półośka a może i co więcej.



Wpadłem jak strzała do domu. Moja matka wybierała się już z siostrą do pp. Świtalskich, by lepiej wiedzieć co się dzieje. O raucie na Ratuszu oczywiście nie ma mowy, choć p. Leon Wasilewski ze względów technicznych nie chce odwoływać. Po bezowocnych próbach telefonicznego porozumienia się z Sławkiem lub Świtalskim aby się dowiedzieć co robić, postanowiłem żeglować nosem, w każdym razie ku Wiśle. Niepokoiło mnie, że mimo, iż ma się już ku 6 popołudniu nic się dotąd nie działo. Uderzały tylko tłumy przechodniów w Alei Jerozolimskiej. Rozsprzedawano dodatki nadzwyczajne o marszu na Warszawę zbuntowanych wojsk, o próbach zamachu jakichś zbirów na Marszałka w Sulejówku. Na rogu Nowego Świata kordon policji nie puszczął tłumy od strony Krakowskiego Przedmieścia. Gdy zatrzymałem się przy Udziałowej zaraz zebrało się kilku zdeorientowanych oficerów, między innymi oficerowie rezerwy: rtm. Łepkowski z b. 2 p. uł. i kpt. Michałowski z Adiutantury w Belwederze. Próbowaliśmy wspólnie się orientować. Parcie tłumy i ochrona Alei Jerozolimskiej przez kordon policji miały jakiś cel. Okazało się, że przed chwilą był na moście Prezydent Rzeczypospolitej i już odjechał.



Nieco później z różnych relacji, dowiedziałem się co się w tym czasie stało. Między 3 i pół a 4 z rozkazu gen. Dreszera I dywizjon szwoleżerów z karabinami maszynowymi przybył na most Poniatowskiego i zajął oba jego wyloty. Karabiny maszynowe z wieżyc mostowych lufami na miasto zabezpieczyły przyczółek mostowy, dość zresztą płytki.

W tym samym czasie ruszył 36 p. p. ze swych koszar na Pradze i zajął jednocześnie dwa północne mosty: kolejowy i Kierbedzia. Policja z mostów usunęła się natychmiast, natomiast wkrótce oddziały rządowe zamknęły drogi z mostów do miasta — na wiadukcie komp. przyboczna, oddziały szkoły oficerskiej (mjr. Porwit), auta pancerne, na placu Zamkowym komp. 30 p. s. k., którym dowodzi Modelski⁷, z baterią d.a.k.'u por. Olchowicz i także samochody panc. rtm. Szymańskiego.

7. płk. Izydor Modelski.

Wkrótce po zajęciu Grochowa i rozbrojeniu tam komisariatu policji, rembertowska kolumna wojsk Marszałka skierowała się na most Poniatowskiego. Tędy prowadziła najkrótsza droga do opanowania stolicy i taki był sztabowy plan opracowany przez Kmicica⁸.

Zapewne już po czwartej przybył na most Komendant z 7 pułkiem ułanów — niezadługo potem z Belwederu nadjechało auto Prezydenta. Stamirowski otrzymał dla Marszałka pismo od Prezydenta. Marszałek w otoczeniu Wieniawy i por. Galińskiego skierował się zaraz do Prezydenta przez przejście w barykadzie na moście. Rozmowa z Prezydentem trwała krótko. Podawano mi ją różnie. Fakt jest, że Prezydent odmówił kapitulacji.

Po skończonej rozmowie, rzekomo „czyniąc swój obowiązek”, próbowano zatrzymać Komendanta, lecz Komendant zdążył odjechać — aresztowano Wieniawę i odwieziono na Dziką⁹.



Rozmowa na moście Poniatowskiego rozwiązała ideę demonstracji — rozpoczynała się akcja zbrojna. Marszałek zmienia plan i decyduje przerwaniu swe główne siły na most Kierbedzia — sam jedzie do 36 pułku.

Obecność Prezydenta na wiadukcie Poniatowskiego immunizowała jego obrońców — Marszałek nie chciał nań atakować.

Dlatego więc staliśmy tak długo w Alei Jerozolimskiej, stał cały tłum w oczekiwaniu i nic się od tej strony nie działo. Jedyną (dla mnie wielką) sensacją było przybycie przez ten most oddziałów płk. Paszkiewicza z praskiej strony. Sam płk. Paszkiewicz jakimś motocyklem z koszem pomknął do Sztabu Generalnego. Okazało się, że Paszkiewicz poszedł ze swą podchorążówką w pewnej odległości za kolumną Marszałka z Rembertowa. Przeszedł on z Grochowa tzw. czerwoną drogą przy parku Paderewskiego i zszedł na brzeg Wisły.

Stąd pertraktował z I dyonem szwoleżerów o przepuszczenie przez most do Warszawy. Było to koło godz. 7 wieczorem. Dowódca dyonu zgadza się, w tym już bowiem czasie stał pod groźbą otwarcia ognia z wiaduktu przez mjr. Porwita, z którym toczyły się pertraktacje.

Wzięty w dwa ognie byłby zapewne zlikwidowany.

Paszkiewicz prawdopodobnie nie znał sytuacji i nie wiedział

8. płk. Skrzyński.

9. więzienie wojskowe.

czy „wojna” jest rozpoczęta: nie wykorzystał możliwości opanowania mostu!



Musiło być dobrze po 7, gdy od strony Zamku doleciały odgłosy strzałów. Grafa artyleria — słysząc było trąkot karabinów maszynowych.

Podniecenie tłumu rosło w szybki sposób. Okrzyki „Niech żyje Marszałek Piłsudski” następowały po każdym strzale armatnim.

Wkrótce przejechał samochód Prezydenta, potem auto ambasadora Laroche'a jeździło kilkakrotnie tam i z powrotem, jeździły auta z czerwonym krzyżem.

Przewożono rannych.



Otrząsnąwszy się z pierwszego wrażenia, postanowiliśmy z Łepkowskim i Michałowskim przedostać się w kierunku Zamku. Na próżno. Policja nie robi przeszkód, ale tłum jest tak zbity, że przejście trwałoby wieki. Łepkowski, który jest właścicielem firmy samochodowej Mathisa, proponuje spróbować dostać się jakąś drogą autem. Ma wystawę narożną na zbiegu Nowego Światu i Jeruzolimskiej a garaż na Nowym Świecie. Idziemy do garażu — zanim wyjechaliśmy stamtąd nową torpedą Łepkowskiego już widok się zmienił. Na skrzyżowaniu Nowego Światu i Jeruzolimskiej stoi rządowa generalicja i kilkunastu oficerów Są generałowie Rozwadowski, Haller Stan., Kessler, płk. Paszkiewicz, Anders, Bajer i wielu innych. Gen. Malczewski sam zatrzymuje przejeżdżające samochody i przyjezdnym każe wysiadać. Nas zatrzymuje również — jeden ze starszych oficerów, zapytuje nas uprzejmie czy zgodzimy się zawrócić do Belwederu i zawieźć rozkazy dla gen. Dzierżanowskiego (nowy dowódca korpusu). Łepkowski odmawia — to jego auto i jedzie gdzieś w pilnej sprawie. Siedząc obok niego szturcham go w łokieć, by się nie opierał. Sytuację ratuje gen. Józef Haller, który wspaniałym samochodem od strony Zamku właśnie przyjeżdża, wysiada z auta, wszyscy się skupiają przy nim. Sam zawiezie rozkazy do Belwederu. My natomiast cofamy się do garażu i decydujemy się obserwować sztab nieprzyjacielski najpierw z chodnika, gdzie nam nikt nie przeszkadza, potem Łepkowski prosi nas do sklepu gdzie wielka szyba wystawowa pozwoli nam doskonale widzieć.

Za wystawową szybą Mathisa, niewidoczni w ciemności, mogliśmy obserwować ciekawy widok tego dziwnego sztabu, dysponującego jakimś plutonem piechoty między Udziałową i Gastro-

nomią i jakimś większym oddziałem podchorążówki, zamykającym Nowy Świat między Mathisem i Min. Kolei, zwróconym, jako druga linia również w kierunku Krakowskiego Przedmieścia. Między obydwoma kruchymi liniami stał sztab narażony na byle ręczny granat lub strzał rewolwerowy i uniemożliwiający nawet otwarcie ognia podchorążówce.

Za chwilę usłyszeliśmy od Brackiej tętent kopyt i ujrzeliśmy większy patrol szwoleżerów około 10 koni, pędzący ostrym kłusem w kierunku sztabu — na czele oficer z dobytą szablą. Zamarliśmy w oknie z napięcia. Uderzenie na grupę sztabowców, których nie może bronić w tej chwili podchorążówka gdyż jej ogień raziłby swoich, dałoby wynik niesłychany! Sytuacje, w których mały podjazd miałby tak niebywałe możliwości zniszczenia Naczelnego Dowództwa przeciwnika nie są właściwie znane. Nieoczekiwanie też wypadł koniec — płk. Anders i płk. Paszkiewicz chwytają oficera za wodze konia i ściągają go z siodła — ten zaś wydaje rozkaz „w tył zwrot” swemu oddziałowi, który rwie z powrotem co koń wyskoczy, pozostawiając w niewoli swego dowódcę, prowadzonego potem przed chmurne oblicze gen. Malczewskiego.

Za chwilę wyjechały na „plac sztabowy” dwa samochody — w jednym poznałem dyr. PAT'a Piotra Góreckiego i majora Dunin-Wąsowicza — dziennikarza czerwonej prasy. I oni zostali aresztowani osobiście przez gen. Malczewskiego.

Nie wiem jakie sankcje dotknęły tych pierwszych jeńców cywilnych, a może skorzystali z praw korespondentów wojennych? Względem oficerów p. gen. Malczewski nie miał żadnych względów. Zrywanie szlif, jak Hozerowi (ppłk. K. Hozer) było, jak mówiono, nagminne...

Wkrótce widok się jednak zmienił. Usłyszeliśmy silną strzelaninę od pl. Trzech Krzyży. To szwoleżerowie mjr. Jaroszewicza (II dyon) idąc ze swych koszar przez ul. Wiejską weszli na tyły podchorążówki, która jednak karabinami maszynowymi atak szwoleżerów odparła.

Oddział przy Min. Kolei zmienił front do pl. Trzech Krzyży, odwracając się tyłem do plutonu piechoty¹⁰, który bronił Sztabu od Krakowskiego Przedmieścia. Pozycja została utrzymana.

Efekt był jednak ten, że sztab wyczuł, że znajdzie się w sytuacji, która może się dlań stać tragiczną i natychmiast opuścił swą fantastyczną pozycję, szybko odpływając w kierunku Belwederu.

10. z 21 p. p.

Z tej sytuacji wysnuliśmy przede wszystkim ten praktyczny wniosek, że nie ma już przeszkód byśmy dostali się do Komendy Miasta.



Do Komendy Miasta przepychamy się przez entuzjastyczny tłum. Wielu ochotników aż nawet z Woli, zgłaszających się po broń. W Komendzie Miasta — obraz kwatery sztabu w polu na biwaku, gdy tłoczą się oficerowie, kanceliści, gońcy, interesanci miejscowi, w ogóle kto chce i nie chce i każdy na coś czeka lub komuś chce się meldować. Oświetlenie niedostateczne. Widzę Dreszera, Becka, Kniaziołuckiego, Rawicza, Gąsiorowskiego¹¹ i innych.

Komendant w dużym gabinecie. Jest podobno bardzo zmęczony — leży na tapczanie. Gdzieś wyfasowano dlań poduszkę. W tej chwili jest u niego Kuryłowicz¹². Komendę miasta sprawuje Rawicz. Opowiadano mi jak ją objął w posiadanie. Rawicz był pierwszym oficerem sztabu Inspektora Armii gen. Żeligowskiego. Inspektorat ten znajduje się w niskim piętrowym budynku przy Krakowskim Przedmieściu 11. Dom ten łączy się przez podwórze z Komendą Miasta. Z chwilą gdy ku wieczorowi tłumy się zaczęły zbierać pod Pałacem Namiestnikowskim i na Krak. Przedmieściu z kompanii pogotowia wartowniczego przysłano (na żądanie sztabu) osłonę Inspektoratowi w sile drużyny piechoty. Koło godz. 8 wiecz. podczas walk o plac Zamkowy Rawicz ze swymi oficerami na czele tego oddziału wkroczył od podwórza do Komendy Miasta i opanował ją. Gen Suszyńskiego (komendanta miasta), już nie znaleziono, natomiast jego zastępca, Oetkiewicz, został aresztowany. Potem nadszedł Szasza Rutkowski z baonem manewrowym. Komendant przyjechał tu po całkowitym opanowaniu placu Zamkowego. Na plac Zamkowy szedł pieszo z oddziałami — z placu przyjechał samochodem z Rawiczem, który się u niego tam zameldował.

Odtąd Rawicz stał się komendantem miasta i wydaje telefonicznie zarządzenia, jako najlegalniejsza władza w świecie.

Opowiadano mi potem jak udało mu się zatrzymać rządowy pułk płk. Boruty Spiechowicza (71 p. p. jadący transportem kolejowym z Ostrowi).

Pułk zatrzymał się, zdaje się, w Tłuszczu i stamtąd płk. Boruta telefonował do Komendy Miasta po informacje. Rawicz

11. ppłk. Rawicz-Mysłowski, płk. Janusz Gąsiorowski.

12. Prez. Zw. Zaw. Kolejarzy.

polecił mu natychmiast wyładowywać się motywując względami taktycznymi. Po godzinie płk. Boruta dzwoni powtórnie — widocznie zmiana w osobie komendanta miasta nie wydała mu się autentyczną. Znowu natrafił na Rawicza — czy tym razem uwierzył i pozostał w miejscu — nie wiadomo.



Przy telefonie siedzi Kwiatek¹³ i zdaje się zbiera sytuacyjne meldunki. Woła mnie do telefonu bym zbierał wiadomości z lotnictwa. Według dotychczasowych relacji jest źle. Rayski został zaskoczony przybyciem w ciągu dnia gen. Zagórskiego na lotnisko i objęciem przez niego władzy. Nic nie udało się utrzymać. Znajduję Rayskiego pod n-rem telefonu kpt. Mrówki. Jest u niego w mieszkaniu na lotnisku.

Obserwuję sytuację. Lotnictwo jest pod terrorem Zagórskiego. Zagórski objął władzę z rozkazu gen. Malczewskiego. Panuje tu stan wojenny. Nic się nie da zrobić, chyba wymykać się pojedynczo i wykorzystać tych, co są w mieście — ale bez samolotów. Rayski oświadczył, że będzie się starał przemknąć przez bramy i zamelduje się w Komendzie Miasta.



Kniaziółcki informuje mnie, że w naszym ręku jest już i Sztab Generalny i gmach DOK. i że mjr. Sierosławski z 21 p. p. już uwolnił Wieniawę i kilku innych oficerów naszych, uwięzionych na Dzikiej.

Ze Sztabu wiemy, że już rano gen. Malczewski zarządził ściągnięcie prorządowych pułków z Ostrowi Maz., z Łowicza, z Poznania i ze Lwowa i Bóg wie jeszcze skąd.

W tej chwili opanowaliśmy już miasto bodaj do ul. Wspólnej, o ile potwierdzi się, że od mostu Poniatowskiego przebiliśmy się do Nowego Świata. Mamy na tyłach Cytadelę w ręku rządowców. (Dowiedziałem się potem, że znów na tyłach przeciwników znajdowały się nasze reduty: koszary szwoleżerów i gmach Min. Spr. Wojsk.).

Możemy jeszcze wykorzystać przewagę i opanować Belweder bo pułki rządowe mogą zacząć nadchodzić za kilka godzin. Kniaziółcki był najwidoczniej zaniepokojony, bo czegoś wątpił czy w nocy opanujemy resztę miasta.



13. ppłk. Kwiatek.

W tej chwili wyszedł od Komendanta Kuryłowicz. Okazuje się, że już wczoraj na zebraniu u Ziemięckiego był Broniek Pieracki i zapewnił sobie pomoc niektórych działaczy robotniczych P. P. S. Na tej podstawie dziś Kuryłowicz dostał już osobiście rozkazy od Pierackiego, który przybył do niego po cywilnemu koło 7 wieczorem — między innymi Kuryłowicz miał się przedostać zaraz do szwoleżerów, gdzie urzędował Ad. Koc i żądać, by szwoleżerowie (II dywizjon) niezwłocznie ruszali. Potem szukał Komendanta na Pradze, na Dworcu Wschodnim, gdzie miała być kwatera, aby zdecydował czy ogłosić strajk generalny na kolejach, czy nie. Na mostach już toczyła się walka, więc Kuryłowicz z Moraczewskim przedostali się krypą przez Wisłę ale Komendanta już na dworcu nie było i dopiero przed 11 wiecz. znalazł go Kuryłowicz w Komendzie Miasta.

Komendant kazał ogłosić strajk generalny, aby nie dopuścić transportów wojskowych, uniknąć zbytecznego przelewu krwi.

„Nie chcę przelewu krwi” — Komendant powtarzał kilkakrotnie.



Kwestia wstrzymania rządowych transportów wojskowych była w tej chwili najbardziej piekącą sprawą.

Bilans dnia zamykał się wprawdzie sukcesem, sukces ten jednak był ograniczony, a późne rozwinięcie się akcji dało możliwość wojskom rządowym wykorzystać czas na przygotowanie sił. Przyczyniło się do tego zapewne przedłużanie się koncentracji własnych sił, potem czas pochłonęło przerzucenie manewru z mostu Poniatowskiego na most Kierbedzia. Wreszcie Komendant zabronił otwierać ogień własnym oddziałom o ile nie padnie straż z przeciwnej strony.

Wszystko to sprawiło, że zabrakło czasu przed nocą, by zwyciężyć przeciwnika, który, choć stracił całe śródmieście, nie rozgromiony uszedł jednak ku Belwederowi.

Wynik walki zależeć będzie od sytuacji na torach kolejowych — od tego czy i kiedy zdążą nadejść rządowe posiłki i czy przyjdą w porę nam z pomocą przewidziane wojska.

Niebezpieczne były zwłaszcza transporty z lewego brzegu, które przyjsz mogły ze Skierniewic, Łowicza, Poznania na Dworzec Główny. Dworzec ten musi być trzymany, kawaleria ruszy ku Jerozolimskim rogatom.

Nadto po władzę na torach wyruszyliśmy niezwłocznie: Gą-

siorowski (płk.) do Dyrekcji Kolejowej, ja — do Ministerstwa Kolei. Improwizowany oddział oficerów uszykował się na ochotnika przy wyjściu z Komendy Miasta — Kuryłowicz był z nami.

Chwyciliśmy jakieś taksówki, by nie tracić czasu.

Tory trzeba było opanować natychmiast.

NA TORACH

13 maja 1926 r.

Było to już zapewne po jedenastej w nocy a może miało się ku północy, gdy zadzwoniliśmy do drzwi Ministerstwa Kolei na Nowym Świecie.

Z oddali było słyhać już tylko pojedyncze, jakby zamierające strzały. Front odsunął się ku Belwederowi gdzieś za plac Trzech Krzyży.

Drzwi natychmiast się otworzyły i w hallu dwaj woźni, starzy znajomi, przywitali mnie jakby z ulgą a może i radością, choć sądzę, że nie mieli wątpliwości co do roli w jakiej wszedłem tu z grupą oficerów o tak późnej i niespokojnej porze.

— Czy jest pan Minister? — pytam.

— Pana Ministra nie ma — na górze jest pan dyrektor Czapski.

A więc jednak tak ważna w tej chwili „kierownica transportów” nie została opuszczona mimo odejścia wojsk rządowych — i tu, na tyłach naszych oddziałów, czuwa przy niej najbardziej kompetentny sternik-dyrektor departamentu ruchu (eksploatacyjnego).

Czas więc najwyższy go zastąpić i przerwać tę paradoksalną sytuację.

W gabinecie ministra oprócz dyr. Czapskiego zastajemy wyższych urzędników: pp. Ad. Gałęckiego, Buszyńskiego i Dolanowskiego.

Tu pożegnaliśmy się z płk. Gąsiorowskim, który z grupą oficerów i prezesem Kuryłowiczem poszedł obejmować dyрекcję kolejową po drugiej stronie ulicy — ja zaś z mjr. Polniaszkiem, kpt. Wyszyńskim i kilkoma innymi oficerami objąłem Ministerstwo.

Długi okres, w którym kierowałem w Ministerstwie komunikacją powietrzną, ułatwiał mi ogromnie orientację.

Z wykształcenia wyższego byłem dyplomowanym inżynierem francuskiej Wyższej Szkoły Aeronautyki i również francuskim pilotem — temu zawdzięczam, że zostałem powołany na kierownictwo komunikacji powietrznej włączone — zgaduj zgadula dlaczego — do ówczesnego departamentu eksploatacyjnego Min. Kolei z tym, że pozostawałem nadal w wojsku w randze podpułkownika lotnictwa. Był to przedziwny okres, w którym założyłem fundamenty podstawowej polskiej sieci komunikacyjnej lotniczej (Warszawa-Gdańsk, Warszawa-Lwów, Warszawa-Poznań, Warszawa-Kraków, i odcinek polski tzw. CIDNA, tj. linii międzynarodowej Bukareszt-Praga-Warszawa-Paryż). Oczywiście moje kwalifikacje (wówczas było zaledwie 4-ech takich inżynierów w Polsce) bardzo mi się przydały, ale najbardziej sobie chwaliłem ignorancję moich kolejowych szefów w ministerialnej hierarchii, która, jak to mogę rzetelnie poświadczyć, bywa niekiedy pozytywnym warunkiem sukcesu: naturalnie pod warunkiem dobrej woli z którą się na ogół spotykałem.

P. Adam Gałęcki prosił o zwolnienie go do domu, pożegnałem również p. Dolanowskiego. Został dyr. Czapski a przy sekretarskim telefonie — p. Buszyński.

Najpilniejszą rzeczą było rozpoznać sytuację na torach i utrzymać łączność z liniami kolejowymi — natychmiast jednego z oficerów wyznaczyłem do stacji Hughesa, by zatrzymał dyspozytora ruchu, utrzymał nieprzerwaną służbę telegraficzną i prowadził ewidencję wojskowych transportów — trzeba było stwierdzić jakie telegraficzne zarządzenia zostały przez rząd wydane.



Wiadomości były ciekawe.

Okazało się, że siedlecki 22 pułk. piechoty wczesnym rankiem zażądał podstawienia dla siebie „garniturę”, aby załadować transport do Warszawy; stacja Siedlce po porozumieniu się z Warszawą, odmówiła.

Na skutek tej odmowy wojsko zatrzymuje o godz. 7,11 pociąg osobowy Nr 342 i zamierza się ładować — wobec tego w zamian za wypuszczenie tego pociągu zawiadowca daje żądany skład wagonowy pułkowi.

Powiadomione o tym już o 7,30 rano dykcja i Ministerstwo zakazują puszczania transportu do Warszawy. Wobec oporu władz kolejowych i kolejowo-wojskowych (tzw. WWKOl) transport siedlecki wyrusza dopiero o 10,45 po aresztowaniu urzędników ruchu na stacji.

Mimo zaalarmowania wszystkich stacyj po drodze do Warszawy transportu nie dało się zatrzymać. Pociąg szedł jak szalony, nie wzruszając się ani brakiem rozkładu jazdy, ani sygnałami „stój” z pośrednich stacyj — nigdzie się nie zatrzymywał, nie zwracając uwagi na zamknięcie drogi i grozę katastrofy. W Miłosnej na wiadomość o szalonym pociągu zatrzymano idący do Siedlec pociąg Nr 838 na przeszło pół godziny.

Tak 22 pułk dotarł do Rembertowa o godz. 13 m. 52.



Transport siedlecki spowodował alarm w Ministerstwie. Już o godz. 9,30 rano odbyła się narada u ministra Chądzyńskiego z udziałem kilku dyrektorów i wielu naczelników. Koło godz. 10 min. 30 min. Chądzyński nadał telegraficznie ostry zakaz dawania wojskowym transportom składów wagonowych inaczej jak na każdorazowy specjalny rozkaz min. gen. Malczewskiego i min. Chądzyńskiego.

Na wiadomość o wariackim transporcie siedleckim min. Chądzyński rozkazuje rzucić na spotkanie tego pociągu tzw. dziki parowóz, aby wywołać katastrofę, rozkaz ten jednak na szczęście pochłonęła rzekomo dobrotliwa szuflada p. Dolanowskiego, sekretarza pana ministra.



W moje ręce również wpada depesza podpisana przez inż. Łopuszańskiego, p. Nowakowskiego i p. Krajewskiego za P.Z.K. (Polski Związek Kolejowy) Z. Z. P. (Zjednoczenie Zawodowe Polskie) i Z. D. K. (Związek Drużyn Konduktorskich). Depesza ta została nadana służbowo „do wszystkich miejsc służbowych D. K. P. i Zarządów Okręgowych i lokalnych Z. Z. P., P. Z.K. i Z. D. K.” w następującym brzmieniu:

„Wobec prób i usiłowań zamachu na prawowitą władzę i normalne funkcjonowanie aparatu kolejowego, wzywam wszystkich kolegów do bezwzględnego posłuszeństwa obecnemu konstytucyjnemu rządowi i do energicznego przeciwstawienia się antypaństwowej i zbrodniczej akcji zamachowców”. Wyraz „zbrodniczej” był przez jakąś dobrą duszę czerwonym ołówkiem przekreślony; nie wiadomo jednak kto nas tak uprzejmie ułaskawił. Depeszę tę nadawano od 17 m. 15 do 21 m. 10.

Jasne, że Kuryłowicz, który z dyrekcyjnego Hughesa poszedł zarządzać generalny strajk kolejowy swego Z. Z. K. (Związek Zawodowy Kolejarzy) będzie się spotykał z oporem w terenie tych trzech grup najwidoczniej pod rozkazem min. Chądzyńskiego stojących.

◆

W tym czasie p. Buszyński przyjął telefoniczną rozmowę z Wilna. Mówił sam prezes Wileńskiej Dyrekcji, inż. Staszewski. Domagał się ministra Chądzyńskiego. Na moje żądanie p. Buszyński oddaje mi słuchawkę.

Przedstawiam się jako delegat Sztabu Generalnego. Pan Staszewski tłumaczy mi, że pan generał Śmigły Rydz w Wilnie zażądał składów wagonowych dla pułków 1 dywizji legionowej z Wilna. Ponieważ na transport ten nie ma rozkazu min. gen. Malczewskiego prezes Staszewski odmówił. Skutek był ten, że wojskowe oddziały zatrzymały stojące na torach wolne wagony a od p. Staszewskiego w tej chwili w imieniu gen. Śmigłego Rydza domaga się gen. Tokarzewski, by wydał rozkaz zestawienia i podstawienia „garniturów”, wobec czego prezes Staszewski prosi o rozkazy, co ma robić.

Odpowiedziałem mu, że rozkaz pana generała Śmigłego Rydza ma wykonać natychmiast, p. Staszewski oświadczył jednak, że musi wobec dzisiejszych zarządzeń usłyszeć ten rozkaz od samego ministra lub dyr. Czapskiego.

Poprosiłem go przeto, aby zaczekał, sam zaś poszedłem rozmówić się z dyr. Czapskim do sąsiedniego pokoiku, gdzie zwróciłem się doń, by kazał p. Staszewskiemu niezwłocznie wyprawić transporty gen. Śmigłego Rydza.

Mimo starej sympatii dla dyr. Czapskiego musiałem żądaniu nadać formę bezwzględną, żadne wahanie nie było tu dopuszczalne.

Skrupuły, na które się powoływał słusznie dyrektor musiały być złamane bez żadnych skrpułów: 1 dywizja musiała być natychmiast załadowana! Po trzech minutach pozostawionych do namysłu dyrektorowi, w czasie których wyszedłem z pokoju, p. dyr. Czapski przyjął rozmowę z p. Staszewskim i dał mu żądaną instrukcję w pośredniej formie:

— Cóż pan może poradzić, panie prezesie? Jeśli wojsko żąda jak może pan się opierać, i td.

Wobec tego prezes Staszewski oświadczył, że „garnitury” będą podstawione.

W ślad zatem połączyłem się z W. W. Kol. Wilno i dałem odnośne wskazówki mjr. Wietrakowi. Jak się okazało z dalszych telegraficznych wiadomości, transporty wileńskie załadowano i wyruszyły one rano trzema pociągami o 3 m. 35, 10 m. 30 i 11 m. 35.

◆

Właśnie zwołniłem dyr. Czapskiego i p. Buszyńskiego do domów, gdy znowu odezwał się telefon. Mówił z Belwederu minister Chądzyński. Na pytanie „czym mogę służyć?“, usłyszałem: „Co pan tu robi?“ i żądanie zawezwania dyr. Czapskiego lub kogoś z urzędników. Stanowczo odmówiłem.

P. Chądzyński wyraźnie zdenerwowany w ostrej formie powtórzył żądanie powołując się na swe prawa i swój tytuł ministra. „Nie jest już pan ministrem i zabraniam panu wydawać polecenia do Ministerstwa!“ — odpowiedziałem i rozmowa się urwała. Pan Chądzyński więcej nie telefonował¹. Ponieważ okazało się z tego, że Cedergren łączył poprzez front, zabroniłem centrali w Ministerstwie łączyć w urzędzie jakikolwiek aparat poza moim — poza tym zameldowałem do Komendy Miasta, prosząc o zarządzenia zabraniające Cedergrenowi łączyć z jednej strony frontu na drugą.

Telefnowałem też do mieszkania i dowiedziałem się, że matka moja i siostra przebywają u pp. Świtalskich, gdzie organizuje się Komitet Pomocy Ofiarom Walk. Policja szukała tam popołudniu Świtalskiego, który jednak w porę wyszedł z domu, podobno na „kwaterę“ do Kniazioluckiego, gdzie sztab polityczny śledził wypadki. Siostra obiecała odwiedzić mnie rano, o ile się da, z aprowizacją.



Sytuacja na torach w międzyczasie wyjaśniła się.

Transporty wojsk gen. Malczewskiego pochodziły przeważnie z lewego brzegu Wisły, kierowane na Dworzec Główny. Jeden był z Łowicza (10 p. p.), a dwa z Poznania. Transporty poznańskie szły linią przez Skalmierzyce — Kalisz — Łódź i o godz. 22.25 i 23.17 przeszły Kalisz. Transport łowicki przed północą ruszył ze Skierniewic, gdzie stał jakiś czas. Kalkulacja moja wy-

1. Historyk Eugeniusz Ainenkiel (z obecnej warszawskiej szkoły historycznej) podaje w swej książce „Od „rządu ludowego“ do przewrotu majowego“, że byłem ministrem kolei przed prof. K. Bartlem w pierwszym rządzie „majowym“. Dokładniej podaje moje stanowisko w sztabie Piłsudskiego kapitan Wł. Karbowski (Wojskowy Przegląd Historyczny — No 2 — 1959, str. 352) jako „kwatremistrzostwo“ (służba transportów). I on jednak się myli notując na pierwszym miejscu kolejności płk. Janusza Gąsiorowskiego (późniejszy generał i szef sztabu generalnego) a potem mnie. Kierował się nie funkcją ale stopniem starszeństwa płk. Gąsiorowskiego, który objął dyrekcję kolejową warszawską a nie ministerstwo, a więc jego czynności były mi podporządkowane. Nie pamiętam czy w ogóle nadano nam jakieś tytuły: dla Piłsudskiego i sztabu gen. Dreszera byłem po prostu Grzędzińskim. W praktyce oczywiście pełniłem funkcję ministra, ale z ministerstwa usunąłem całą biurokrację z wyjątkiem ludzi mi potrzebnych: po korytarzach można było jeździć na rowerach...

kazywała, że w rannych godzinach nadchodzącego dnia wojska te będą pod Warszawą.

Z prawego brzegu rząd nie ściągnął w tej chwili żadnych wojsk z wyjątkiem 71 p. p. z Ostrowi Mazowieckiej. Po godz. 21 transport ten, noszący Nr 5774, stanął w Tuszczu, gdzie po rozmowie z Rawiczem, płk. Boruta² zatrzymał się. Widocznie jednak nie wyładował się, gdyż przed północą miałem już wiadomości o dalszym biegu tego transportu; mógł on jeszcze przed świtem wkroczyć na Pragę.

Po porozumieniu się z Dyрекcją (płk. Gąsiorowskim) postanowiliśmy opóźnić go zniszczeniami. Okazał się w tym niezwykle pomocny Kuryłowicz, dzięki któremu szyny ginęły z toru między Tuszczem a Wołominem, powodując postoje, aż wreszcie nad ranem płk. Boruta wyładował swe wojsko w Zielonce i poszedł z Zielonki do Warszawy marszem pieszym.

Alarmujące wiadomości przychodziły z dyrekcji radomskiej: na godz. 1. w nocy formowano we Lwowie transporty, dla których ściągano parowozy i drużyny konduktorskie z Rozwadowa. Formowano 5 pociągów na rampach w Kleparowie. Złoczowie, Podzamczu i Lwowie — w tym wiele wagonów końskich dla artylerii i kawalerii. I te transporty były zarządzone przez gen. Malczewskiego.

Tymczasem o wyruszeniu naszej 1. Dywizji z Wilna wciąż jeszcze nie nadchodziły wiadomości, mimo moich przynagień; awizowano natomiast ładowanie się transportu w Łomży (33 p. p.), o którym nie mogłem się dowiedzieć czy jest nasz czy rządowy i jak się wobec niego zachować.

Zatrzymanie transportów poznańskich i w ogóle lewobrzeżnych możliwe było w dwóch punktach trasy: w Żyrardowie i Kutnie, gdzie można było wysadzić przyczółki mostowe.

W innych miejscach zniszczenia mogły być tylko krótkotrwałe. Zadania te spadły na naszą Dyrekcję kolejową, tj. płk. Gąsiorowskiego; było jednak wątpliwe, czy można będzie je jeszcze na czas wykonać.



Gdy próbowałem połączyć się w tych sprawach ze Sztabem Marszałka, włączono mnie przypadkiem w rozmowę, w której poznałem wyraźnie głos gen. Sławoj-Składkowskiego. Telefonował z gmachu Ministerstwa Spraw Wojskowych na Nowowiejskiej. Mimo, że gmach jest zewsząd otoczony wojskami rządowymi, załoga z oficerów, podoficerów i ordynansów pod dowództwem

2. płk. Boruta Spiechowicz d-ca 71 p. p.

Sławoja trzyma się. Z całą niedyskrecją słuchałem, jak spokojnym głosem Sławoj przedstawiał sytuację — brak broni i amunicji, karabin maszynowy rządowców grzeje z Łobzowianki wzdłuż Nowowiejskiej i tp. — głos ze Sztabu zapewniał, że odsiecz się zbliża od strony ul. Mokotowskiej i że wkrótce ppłk. Frank-Wiśniewski opanuje plac Zbawiciela, że będą i samochody pancerne i po połączeniu się załogi M. S. Wojsk, z oddziałem Frank-Wiśniewskiego dowództwo nad całością ma objąć gen. Sławoj-Składkowski.

Generał stanowczo zaprotestował przeciwko obejmowaniu przez siebie dowództwa i oświadczył, że się podporządkuje każdemu liniowemu dowódcy, choćby niższej szarzy.

Gdy udało mi się wreszcie meldować do Sztabu przedstawiłem sytuację i przewidywania. Zdaniem moim transporty wileńskie nie wejdą w akcję w ciągu dnia, natomiast wojska rządowe już rano mogą się potroić, a po przybyciu transportów lwowskich przed wieczorem „nieprzyjacieli” będzie miał przewagę druzgocącą.

Mimo złego położenia strony rządowej, która oparła się o Belweder i straciła łączność telegraficzną z krajem, a z całej sieci kolejowej ma tylko kolejkę grójecką, po przybyciu posiłków rządowych będziemy w trudnej sytuacji.

Niepokoiliła mnie cisza zalegająca miasto — boju nie ma w czasie kiedy my mamy pełną przewagę i moglibyśmy opanować Belweder...

Wytłumaczono mi, że czekamy na nasze posiłki, ciągnące marszami — płk. Młot (Fijałkowski) jest gdzieś w drodze z Pułtusza, 2 pułki kawalerii ciągną z Płocka i Ciechanowa.

Sztab żąda wiadomości o pułku Bortnowskiego z Kutna, o którym dotąd nic nie słychać i niepokoi się o 2-gą i 3-cią Dywizję z Kielc i Zamościa, które też nie dają znaku życia.

Ja mam „wszelkimi sposobami powstrzymać transporty rządowe”, ale... nie wolno mi wysyłać na te transporty dzikich parowozów, bo Komendant nie życzy sobie tego...”

Na pocieszenie powiedział mi mój łaskawy informator, że w tej chwili toczą się pertraktacje — (jakoby Rataj...) i że kto wie czy wojna nie skończy się zwycięstwem bez strzału...

Tymczasem brzask przesączał się przez szyby okien mojego zadymionego „ministerialnego” gabinetu i mieszał się ze sztucznym światłem świecących *a giorno* żarówek.

◆

Skulony w fotelu mocno musiałem drzemać, gdy zbudził mnie głośny łoskot karabinów maszynowych gdzieś z kierunku Czerniakowa i Frascati; słychać było jakieś gwałtowne kotłowanie.

Dzień już był w pełni.

Pierwsza rzecz: co się dzieje? — *sytuacja* na froncie i na torach.

Ustalenie sytuacji w mieście było najtrudniejsze. Dodzwonić się do Kwiatka w Komendzie Miasta lub do Krzewskiego w koszarach 36 p. p. wprost nie podobna — telefony ciągle zajęte.

Jedno było pewne — nocne rokowania do pokoju nie doprowadziły.

Z przydzielonego mi do ochrony gmachu (po długich staraniach) oddziału Związku Strzeleckiego (miałem nadto pluton z baonu manewrowego³) wysłałem patroli do naszych oddziałów na wiadukt Poniatowskiego, na Marszałkowską i do placu Trzech Krzyży po wiadomości o sytuacji.

Było to często jedyne możliwe wykorzystanie tych chłopców, którzy mieli broń raczej dekoracyjną, a zamiast brakującej amunicji dużo temperamentu i bardzo wiele entuzjazmu.

Do Komendy Miasta udał się mjr. Polniaszek ze sprawozdaniem o sytuacji na torach kolejowych i po informacje dla mnie o sytuacji w mieście.

Niestety mjr. Polniaszek już z Komendy Miasta nie powrócił, gdzie zdaje się został w tzw. Dowództwie Grupy Warszawskiej — na jego miejsce przybył wkrótce mjr. Józef Wróblewski z Wyższej Szkoły Wojennej i został moim zastępcą.

Trochę od niego, trochę od patroli i zatrzymywanych oficerów i żołnierzy udało mi się zestawić sytuację: okazało się, że rano ofensywę podjęły wojska rządowe i uderzyły z dużą siłą na koszary szwoleżerów i gmach M. S. Wojsk. — spodziewane posiłki najwidoczniej już nadeszły.

◆

Tymczasem wywiad kolejowy sygnalizował zbliżanie się do Warszawy dwóch wojskowych transportów z Poznania. Czynione przez nas utrudnienia, improwizowane na prędcie, nie zatrzy-

3. Był to pluton pod d-twem por. Wiesława Kłónkowskiego (przysłany z batalionu manewrowego, który w tym dniu miał trzymać przyczółek mostowy Kierbedzia.

mały tych transportów — przedłużyły tylko czas przejazdów z Poznania do Warszawy do jakichś 16 godzin. Awizowano też z dyrekcji poznańskiej załadowanie dalszych 5 transportów wojskowych, a w dyrekcji gdańskiej jakiś transport wojskowy Nr 602 stał na stacji Jabłonowo Pomorskie i nie można się było dogadać co to za oddział i dokąd się kieruje: czy z Brodnicy na Toruń czy z Grudziądza na Mławę. Zwróciłem się, jak zwykle w takich wypadkach, do płk. Gąsiorowskiego w Dyrekcji kolejowej, który jednak nie przewidywał tego transportu w swoim *ordre de bataille* — taki nieprzewidziany transport nic dobrego wróżyć nie mógł.

Pomorze zostało najwidoczniej przez sztab rządowy poruszone, skoro otrzymałem od W.W.Kol. Gdańsk taką depezę: „W związku z rozkazem 1. 15327/IV kond. melduje, że DOK VII⁴ zamówiło transporty wojskowe. Proszę o rozkazy wdrożenia. Szef. W.W.Kol. Gdańsk (podpis) 1. 207”. Oczywiście chodzi o sukurs gen. Hubischtę, dowódcy toruńskiego korpusu, dla wojsk gen. Malczewskiego. Tymczasem w obawie przed naszymi transportami wczoraj min. Chądzyński z gen. Malczewskim kategorycznie zabronili dawania wojskom składów, bez specjalnego w każdym wypadku wspólnego tychże ministrów rozkazu — dziś, gdy centrala Ministerstwa i Dyrekcji Warszawskiej znajduje się w naszym ręku, dysponowanie normalną drogą rozkazodawstwa stało się dla ministra kolei niemożliwe. Nakazałem więc dyrekcji gdańskiej jak najsurowiej wykonać wczorajszy zakaz pana ministra — nie wolno udzielać wagonów oddziałom pomorskim: ze względu na bliskość granicy ogołacanie Pomorza jest niedopuszczalne. Nie wiem, czy pan minister Chądzyński podejrzewał, że będę wdrażał takie posłuszeństwo dla jego rozkazów!



W Dyrekcji Radomskiej miałem do uregulowania nieporozumienie między władzą kolejową a wojskowo-kolejową (W.W.Kol. Radom). Dyrekcja, powołując się na wczorajszy zakaz ministra, wahała się wykonać zlecenia naszego W.W.Kol. Radom, który (kpt. Woffka) energicznie starał się o transporty dla 3. Dywizji z DOK. Lublin, o które wprost i przeze mnie dobijał się Sztab wielokrotnie.

O godz. 11.30 doszedł do mnie telegram z Radomia do dyr. Czapskiego „na Nr 15006”, domagający się decyzji Ministerstwa, czy Dyrekcja ma wykonać żądania W.W.Kol. i dostarczyć transporty dla pułków z Zamościa, Chełma i Lublina.

4. Toruń.

Upewniłem Dyрекcję, że zlecenia W.W.Kol. są w porządku i mają być bezwzględnie respektowane.

W ogóle W.W.Kol. Radom doskonale współpracował ze mną — nie na wszystkie W.W.Kol. można było liczyć, a co najgorsze, brak listy tych pewnych W.W.Kol. zmuszał mnie do omijania ich przeważnie w mej pracy.

◆

Nadeszło kilka pocieszających nowin. Rano w Wilnie załadował się pierwszy transport dywizji legionowej i o 8 m. 35 wyruszył do Warszawy — następne miały również się wkrótce ładować. (Wyruszyły dopiero o 10 m. 30 i 11 m. 35 — przyp. autora). O godz. 7 m. 35 wyruszył z Kutna pułk płk. Bortnowskiego, którego jeden baon czekał na załadowanie w Łęczycy. W biegu był pułk 33. z Łomży.

Ruszyliśmy z martwego punktu — proste jednak obliczenie wykazywało, że z tych transportów przed wieczorem spodziewać się można tylko dwóch baonów z Kutna, wówczas gdy w tej chwili transporty łowickie i poznańskie już wzmocniły nieprzyjaciela o całe 3 pułki piechoty, dając mu możność zmienić sytuację w stolicy w ciągu dnia, zanim przyjdzie nasza dywizja legionowa — w szczególności ewentualne uderzenie pułków poznańskich od rogatki Jerozolimskich na most Poniatowskiego mogło zlikwidować i nas, w Min. Kolei i Dyrekcji, i odebrać nam wpływy na torry!

◆

Wzrastający łośkot karabinów maszynowych od Belwederu i kanonada armatnia z tamtej strony świadczyły jednak, że bój tam się wznagał i tam sztab rządowy szukał rozstrzygnięcia. Samoloty nieprzyjacielskie uporczywie latały nad mostem Poniatowskiego i nad pl. Saskim.

◆

Wielu urzędników rano zgłosiło się do pracy. Odprawiłem wszystkich, by uniknąć sabotażu i rządowego wywiadu, z którym byłoby mi trudno walczyć — kilku gorliwszych musiałem wypędzać z biur, by nie odrabiali zaległości. Kazałem na drzwiach wyjściowych nalepić napisane na maszynie rozporządzenie o zawieszeniu pracy w Ministerstwie aż do odwołania. Wystarczyła mi centrala Hughesa i niezmordowany dyspozytor ruchu p. Kozłowski.

◆

Strajk generalny, zarządzony w nocy przez Kuryłowicza, już dał się odczuć na liniach, z wyjątkiem dyrekcji poznańskiej, wileńskiej i gdańskiej.

W szczególności we Lwowie strajk maszynistów w pełni — jemu prawdopodobnie zawdzięczamy, że żaden z groźnych 6 transportów, które z rozkazu gen. Sikorskiego miały wyruszyć z dworców lwowskich, nie wyruszył ani w nocy, ani w ciągu przedpołudnia i nawet jeśli jeszcze wyruszy, to w tym dniu nie ma mowy, aby którykolwiek z nich zaważył na szali walki.



Za to jak grom z jasnego nieba nadszedł meldunek o ruszeniu trzech śląskich transportów z rozkazu gen. Szeptyckiego — bez sennika egipskiego było pewne, że idą na pomoc wojskom rządowym!

Były to transporty 4507, 4508, 4509 — jeden z Pszczyny, dwa z Tarnowskich Gór, nawyraźniej 3 p. ułanów płk. Bystrama. Skutkiem strajku transporty „pchały się siłą” na Częstochowę, poprzedzane parowozem pilotowym. W ślad za 3 p. ułanów trzeba się było spodziewać dalszych oddziałów gen. Szeptyckiego! Meldowałem o tym natychmiast do Dowództwa Grupy Warszawskiej (Komenda Miasta), jak również o środkach obrony. Kolejarze mieli zastosować taktykę biernego oporu — drużyny konduktorskie ukrywały się, maszyniści również, parowozy uprzęta- no ze stacji, gdzie stały „podejrzane” garnizony. Nadto żądaliśmy z węzła częstochowskiego zrywania torów na Łazy i Stradom, szlak poznański zamknijemy natychmiast w Kutnie, a ze wschodu — pod Wołominem „dla nieproszonych gości” (nasze transporty wileńskie mogły przybyć dopiero wieczorem).

W trakcie tych „zabiegów” przyszła z ul. Wspólnej moja siostra z ładunkiem kanapek, które zostały przeze mnie i kolegów ocenione w sposób należyty. „Wyjaśniło się”, że od 18 godzin nic nie jadłem. Dowiedzieliśmy się przy tym, że front jest koło Koszykowej, ale po drodze legitymowały nasze patrole; że skutkiem jakiejś psychozy zwyrodniałych *freischützów*, strzelających z okien do wojska i do publiczności, ogłoszono zakaz otwierania okien. Panie z Komitetu Pomocy⁵ jeżdżą wojskowymi i policyj-

5. Komitet Pomocy powstał z Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego, która organizowała na 13 maja raut na fundusz im. Marii Paskowskiej w porę odwołany telefonicznie przez Marszałkową Piłsudską. W Komitecie bardzo czynny udział wzięła moja matka Bol. Grzędzińska, kierowniczką przed- szkola Ligi, oraz moja siostra, późniejsza Nelly Strugowa. Przewodniczyła dr Julia Świtalska.

nymi samochodami i rozwożą na front żywność i opatrunki; kanapki zaś zawdzięczamy wysokiemu poczuciu sprawiedliwości mojej siostry, która w tej samarytańskiej akcji nie mogła pominąć najbliższych. Ledwo nas pożegnała, gdy odwiedził nas płk. Mochnacki, dowódca 11 p. uł. z Ciechanowa, oraz Głogowski z oddziałem kawalerii, który ukrył się na podwórzu Ministerstwa.



Nie wiadomo skąd koło południa przynieśli mi moi strzelcy wiadomość, że podchorążacy wdarli się już do gmachu M. S. Wojsk., po zbombardowaniu gmachu przez artylerię. Wiadomość ta okazała się nieprawdziwa — niemniej pojedyncze kule zaczęły już gwizdać po Nowym Świecie i słychać było echa walki z nowego kierunku, gdzieś od Czerniakowskiej.

Porozdawałem moim oficerom odcinki obrony. Liczba ich się zwiększyła — co chwila przybywali z Komendy Miasta oficerowie rezerwy, jak mjr. Zajączkowski, por Karczewski, ppor. E. Kwieciński i inni — przeważnie w marynarkach i wojskowych czapkach. Obsadziłem płot od strony Szpitala św. Łazarza i balkon od ulicy przez żołnierzy z oddziału manewrowego z bronią maszynową w kierunku na pl. Trzech Krzyży.



O 14 m. 35 nadeszły meldunki od kolejarzy o wykonaniu zniszczeń na obu liniach zachodnich: pod Kutnem w Bożej Woli, Błoniu i Szymanowie (kierunek Sochaczew) oraz na 277 kilometrze pod Skierniewicami. Kolejarze sprawują się świetnie, nie wiadomo tylko, czy w pośpiechu nie zniszczyli toru, zanim przeszedł nasz pułk z Kutna, który niedawno był meldowany w Sochaczewie i powinien za 1 — 1,5 godziny być w Warszawie! Niestety nie mam na liniach oficerów i muszę polegać na wężu kolejarzy.

Nic nie wiadomo, co się dzieje na torach dyrekcyj radomskiej! Od 13.50 jest jakaś przerwa telegraficzna i nie można się dowiedzieć, czy wyruszy wreszcie 3 Dywizja, czy nie; nie wiadomo też, co nam grozi ze Lwowa. Natomiast gen. Hubischta uporał się widać z kolejarzami, bo ładuje jakieś transporty w Bydgoszczy i w Grupie pod Grudziądem.

Sztab domaga się koniecznie przynaglenia transportów kieleckich i lubelskich. Udało mi się wreszcie nadać Hughesem depeszę do gen. Romera w Lublinie i, co najważniejsza, otrzymałem telegraficznie potwierdzenie odbioru od kpt. Majera, ale żadnej

konkretnej odpowiedzi. Tyle wiemy co i przedtem. O kieleckich transportach wiadomości negatywne — dotąd nie wyruszyły!

Dyrekcja poznańska odmawia nam informacji o transportach — tamtejszy W.W.Kol. dobrze się zorientował i uniemożliwia mi wywiad.



W każdym razie od zestawienia sytuacji robi mi się gorąco — Sztab, gdy melduje o niej telefonicznie, nie jest też bardzo zadowolony; Kniaziołucki, który wtrąca się do telefonu, opowiada mi, że przed południem zlikwidowaliśmy atak 71 p.p. na Pragę od wałów kolejowych — pułk częściowo nawet przeszedł na naszą stronę. W likwidacji tej wziął udział, oprócz 36 p.p. i strzelców, 13 pułk, który przybył już z Pułtuska. Nadto Pieracki ruszył na Cytadelę, która oddała się już pod rozkazy gen. Burhardt-Bukackiego. „Sytuacja w tej chwili nie jest taka zła, a dotąd wcale prawie nie wykorzystaliśmy rezerw ludności, która domaga się broni, by walczyć po naszej stronie. Oczekujemy jakiegoś Uniwersału ze strony Komendanta, który wkrótce wyjdzie i wówczas hurra... pospolite ruszenie!”

Mimo tej „niezłej sytuacji” nadeszła wiadomość o 5.30, że padły koszary szwoleżerów i że, tym razem faktycznie, padł gmach M. S. Wojsk. Skutek odczuliśmy zaraz. Jakiś karabin maszynowy z dachu gimnazjum Królowej Jadwigi zaczął metodycznie obsiewać Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście, polując krótkimi seriami na poszczególnych przechodniów, spośród których mieliśmy już rannych. Między Ministerstwem a gmachem Straży Ogniowej raniło w nogę jakąś panią, która, mimo przestrog jednego z oficerów, „musiała przecież iść do domu na Książęcą”. Ciągłe ta sama lekkomyślność, z jaką w najniebezpieczniejszych miejscach gromadzą się warszawiacy, by zobaczyć „wojnę naprawdę”. Zwłaszcza sensację robią czołgi i staromodne Austiny (sam. panc.), wyciągnięte z warsztatów na Pradze i z „amatorską” obsługą wędrujące przez Nowy Świat, wywołując często komiczne efekty.



Aby się dostać do Dyrekcji, do płk. Gąsiorowskiego, na drugą stronę jezdni, musiałem przebiegać ulicę skokiem między jedną serią strażów a drugą.

Zastanawialiśmy się tam nad sytuacją — w szczególności nad tym, co się dzieje w Brześciu n/B., dokąd w ciągu doby przybyło z różnych garnizonów 6 transportów wojskowych i wszystkie wyładowały się na stacji, nie idąc do akcji ani na jedną

ani na drugą stronę. Albo robi się tam koncentracja, „języczek u wagi”, albo chyba jakaś szatańska epidemia turystyczna opanowała całe wojsko!

Doszliśmy do jednego wniosku z sytuacji: tylko przez zatrzymanie transportów z Poznańskiego i Pomorza oraz transportów ze Śląska możemy umożliwić dywizji legionowej z Wilna przewagę nawet w razie zawodu ze strony lubelskich i kieleckich transportów.

Za wszelką cenę, choćby dzikimi parowozami, muszą być stworzone przeszkody na torach do Częstochowy, Poznania i Torunia! (Drogi przez Mławę i Rozwadów nieprzyjaciel unika).

Pokazano mi osobliwość, jaką posiada Dyrekcja — siedzi tam w zamknięciu jakiś *freischütz* z Nowego Światu za strzelanie z balkonu do naszych ludzi — klnie się na wszystkie świętości i drzy na ciełe i duszy.

Gdy wróciłem do Ministerstwa, zastałem wiadomość, że lotnicy zbombardowali most kolejowy w Łapach, jednak przechodzący transport przeszedł bez strat. Jakież to transport? Czyżby już pierwszy transport wileński?



Jakoś na szczęście nieprzyjaciel nie ceni „kierownicy torów” i nie jesteśmy przedmiotem natarcia. Ofensywa belwederska najwyraźniej nas omija i posuwa się z dużą siłą na skrzydłach — walka się toczy już o Dworzec Główny i o most Poniatowskiego. Przycupnęliśmy w oczekiwaniu wydarzeń. Pracujemy gorączkowo, aby wykorzystać w każdym razie czas; będziemy się też bronić ile się da — nie będzie p. gen. Malczewski zrywał nam naramienników.

Nim zapadł zmrok, załamała się i nasza słaba linia obronna, która chroniła nas od strony Al. Ujazdowskiej, skąd parły oddziały rządowe.

Stało się to wszystko jakby w jednej chwili — widziałem z okna ostatnich już naszych obrońców, przebiegających w stronę Udziałowej. Co chwila któryś odwracał się i strzelał. Strzelanina była rześista.

Odcinek Nowego Światu od pl. Trzech Krzyży do Al. Jerozolimskiej przestał należeć do którejkolwiek ze stron — stał się ziemią niczyją, *no man's land*, jak to nazywają Anglicy.

Na tej bezpańskiej ziemi nie można było się ruszać — przechodzenie z Ministerstwa do Dyrekcji, przez jezdnię, nie było już możliwe.

Tylko kule gwizdały sobie bez przeszkód i z jednej i z drugiej strony.

◆

Ministerstwo „urzędowało” na międzypolu. Trzeba było zatarasować wejścia i zamaskować się: okna zawiesić, pogasić lub zasłonić światła, udawać wymarły, opuszczony budynek.

Posterunki ochronne z zewnątrz cofnęły się do wnętrza gmachu. Na ulicy panowały ciemności i tylko tu i ówdzie przy bramach świeciły się latarki z numerami.

Wiedzieliśmy dobrze z majorem Wróblewskim, że ta ziemia niczyja, gdzie gospodarują kule, może przechodzić z rąk do rąk, nie wiadomo tylko kiedy.

Zabezpieczona przed stycznością z otoczeniem centrala Hughesa na szczęście tego wszystkiego nie wiedziała, nie zdawała sobie sprawy z sytuacji i doskonale pracowała w tym zakonspirowanym ministerstwie, jakby nic się naokoło nie działo.

◆

Telefon był dla nas, uwięzionych między dwoma liniami, jedyną łącznością ze światem.

Jeżeli przedtem trudno było się telefonicznie dobić do któregoś dowództwa, teraz przeciwnie — ciągle dzwonił do nas sztab. Urzędował w nim Toporczyk (płk. Błęszyński), który domagał się ciągle transportów wojsk gen. Łuczyńskiego i transportów z lubelskiego.

Dziś rano specjalnym parowozem wyjechał z Dworca Wschodniego z rozkazem Komendanta dla ściągnięcia dywizji do Warszawy jeden ze starszych oficerów. Wyprawiał go sam Kuryłowicz.

Szef sztabu dywizji, płk. Frank-Wiśniewski, dowodził w tej chwili w Warszawie jakimś naszym oddziałem, ale zapewnił, że dywizja miała ruszyć pod dowództwem płk. Bończy-Uzdowskiego, zastępcy gen. Fabrycego, z Zamościa.

Niestety, byliśmy bezsilni wobec żądań sztabu: kolejarze w dyrekcji radomskiej wykonywali nasze zarządzenia uruchomienia pociągów wojskowych, ale wpłynąć na zarządzenie ładowania wojsk i przyśpieszenie tych zarządzeń nie mogliśmy.

Mimo moich solennych przyrzeczeń informowania go natychmiast o każdej wieści o tych transportach — płk. Błęszyński przyglażał. Sztab się niecierpliwił.

Wynikało to z sytuacji. Wojska rządowe nie tylko wzięły wiadukt 3 maja, lecz poznańscy nawet zapędzili się pod Ogród Saski, gdzie broniły się przed nimi armaty Brzozy. Ze sztabu do linii ognia — jak ręką podać.

Odwody już poszły w bój. Poszedł już Maciesza, Rayski, Pieracki. Co się nawinęło pod rękę, oddziały liniowe i nielinio-
we, nawet łącznościowcy z Zegrza — wszystko w ogniu. Na
razie sytuacja opanowana, ale równowaga niepewna, wojska zmę-
czone, interwencja nowych sił konieczna.

Tymczasem Radom nic o ładowaniu wojsk, mimo późnej już
pory, nie wiedział, a na domiar złego urywały się często połą-
czenia.

Co się wreszcie tam dzieje?

Wyobrażałem sobie, co przeżywa w tej chwili w swej kwa-
terze Komendant i trapiło mnie, co myśli o stanie gotowości na-
szych „wiernych, w boju zaprawionych szabel”...

Przecież Komendant rzucił wszystko na kartę!

Tymczasem meldował Toruń: w Brodnicy n/Drwęcą ładują
się — będzie jeszcze jeden pułk rządowy. Zapewne nie pójdzie
na Mławę, lecz na Toruń.

Katowice komunikują ładowanie się wojska w Bielsku, Cie-
szynie, Wadowicach. Oczywiście z rozkazu gen. Szeptyckiego —
w ślad za 3. p. ułanów. Były to oddziały podhalańskie dywizji
Galicy. Teraz wielki znak zapytania: z jednej strony nie jest
prawdopodobne, by Galica i Ludwik de Laveaux⁶ szli przeciwko
Komendantowi, z drugiej strony trudno przypuścić, by „sukcesyj-
na” kadra tych pułków, nieuleczalnie c.-k., miała choć najmniej-
sze do nas sympatie.



Co też wyjdzie z tego wszystkiego?

Nastawiłem mój wywiad Hughesowy specjalnie na wojska
gen. Szeptyckiego i Galicowe ze szczególną uwagą na Częstocho-
wę. Tu łączyły się oba szlaki kolejowe ze Śląska przez Herby
i zatrzymał w Stradomiu, o 6 km. od Częstochowy, idący przez
Ząbkowice-Łazy.

Panem węzła częstochowskiego był gen. Stanisław Wróblew-
ski, dowódca tamtejszej dywizji. Generał ogłosił stan wojenny
i podporządkował sobie wszelkie władze. Stał po naszej stronie
i zatrzymał w Stradomiu, o 6 km. od Częstochowy, idący przez
Herby 3 p. ułanów.

Na wiadomość o idących transportach przez Łazy posłał na
spotkanie parowóz z obsługą, z rozkazem rozbierania torów pod
Łazami, o 50 km. od miasta (w kierunku na Kraków).

Nadto generał kazał wszystkie parowozy z Częstochowy wy-
prawić do Rudnik (w kierunku do Warszawy). Widocznie nie był

6. ppłk. legionowy, szef sztabu dywizji.

generał pewien, by, mając tylko jeden pułk pod ręką, mógł stworzyć dostateczny opór wojskom gen. Szeptyckiego, które mogły się skoncentrować w niewiadomej sile.

W tej niepewnej sytuacji Częstochowa była wielkim sukcesem: nasze szanse powstrzymania transportów z tej strony dobrze się przedstawiały.



Koło g. 11 w nocy dowiaduję się z Komendy Miasta, że nawiązano znowu rokowania o zawieszenie broni. Oczekiwanego uniwersału czy manifestu Komendanta nie będzie. Przynajmniej na razie.

Natomiast P.P.S. — warszawski O.K.R. — ogłosiła strajk powszechny na jutro, aby „poprzeć braci żołnierzy”. Odezwa P.P.S. wzywa robotników do walki po naszej stronie i podkreśla, że rząd Witosa kazał strzelać do polskich żołnierzy.

Jutro będziemy zbroid robotników i robotnicy wyjdą na ulice.

Dolanowski, który mieszka w budynku ministerstwa przyniósł nam numer „Kurier Porannego”, gdzie jasno, dobitnie i wszem wobec wyjaśnia się, że to co my robimy — to nie bunt, lecz demonstracja, bo rząd Witosa nie jest jeszcze zaprzysiężony.

Są w Polsce urodzeni dyplomaci, dla których w tej chwili istnieją takie „problemy” — dla mnie, przyznam się jest to wysoce obojętne.

Rzeczywistość kolejowa — 15 transportów w biegu, a z tego tylko 5 naszych — oto problem i oto argumenty chwili.



Strajk kolejowy tego problemu, niestety, nie rozwiązał. Najważniejsze dyrekcje skąd szły transporty za transportem: poznańska i gdańska, nie przyjęły nawet depesz Kuryłowicza. Dyrekcja poznańska wobec stawiania przez nas oporu transportom zareagowała nową taktyką przejmowania pod swój zarząd odcinków dyrekcji warszawskiej, opanowując siłą i groźbą stacje.

Okazało się, że zaimprovizowanie strajku kolejowego nie jest łatwe, zwłaszcza gdy dyrekcyjne władze z natury rzeczy są przeciwnie i zarządzeń strajkowych przekazywać nie dają sieci służbową. Aby strajk wypełnił swe zadanie musiałby być zawczasu przygotowany.



O g. 12 w nocy znów telefonuje płk. Błęszyński. Żąda związk-

szczenia zniszczeń na drodze nowych transportów poznańskich, zwłaszcza pod Kutnem — wobec tego, że łódzki garnizon opowiedział się po naszej stronie, poznańscy ominą drogę na Łódź i wszystkie transporty pójdą na Kutno.

Uważałem, że zniszczenia na tych szlakach należy robić środkami dyrekcyjnymi i telefonowałem do płk. Gąsiorowskiego.

Tu powstał spór kompetencyjny — Gąsiorowski domagał się od Kuryłowicza wykonania zniszczeń przez samych kolejarzy, Kuryłowicz sprzeciwiał się, twierdząc, że tylko wojsko może je wykonać ze względu na to, iż kolejarzy nieumundurowanych nie będą wojska poznańskie uważały za kombatantów, no i dlatego, że to nie pedagogiczne zadanie dla kolejarzy, by niszczyli tor kolejowy lub kolejowe urządzenia.

Znowu więc trzeba się uporać z problemem pedagogicznym, który miał też tu „coś do gadania”.

Faktem jest, że w Kutnie już wojska naszego nie było, bo płk. Bortnowski odszedł do Warszawy — może jeszcze z łączyskiego baonu da się wykombinować oddział dla zadań na stacji w Kutnie. Słowem, nie wiadomo co się tam da zrobić na większą skalę.

Zaraz po północy, o 0,15, nadeszła wiadomość, że transporty wileńskie minęły Łapy! Szły dobrą szybkością.

Hurra! Pierwsza legionowa za 2 godziny będzie w Warszawie!



Zbudził mnie mocnym targaniem kapitan. Było po wpół do drugiej w nocy. W Hughesie odezwało się Kutno!

Poleciałem natychmiast telefonicznie zaalarmować płk. Błęszyńskiego i zbiegłem do centrali Hughesa.

Aparat miarowo stukał, a na przesuwającej się taśmie pojawiały się litery — coś niby seans spirytystyczny z duchami...

Pokoik gęsto zadymiony, przy pracy pochylone, zmęczone postacie oficerów, dyspozytora, telegrafisty.

Na skręcających się zwojach taśmy telegraficznej czytam już meldunek o przejściu trzeciego transportu z Poznania „za Nr 10265”, stanowiącego drugą część 14 pułku artylerii polowej wielkopolskiej, w składzie 208 ludzi i 172 konie. Transport odszedł z Kutna o godz 1 m. 15.

Taśma 19 stuka wciąż dalej tak-tak-tak...

„Melduję dalsze transporty — w Kutnie stoi czwarty transport — gotów do odejścia. — Zapowiedziano na odcinku Toruń — Kutno piąty transport — transport toruński w biegu”.

Wydaje natychmiast rozkazy:

„Zatrzymać transporty w Kutnie, dalsze transporty do Warszawy mają być zatrzymane...”

„Co w Warszawie” pojawia się na taśmie.

„Sytuacja opanowana, wstrzymać ruch transportów wojskowych... meldować, gdy nadejdzie transport toruński...”

„Wszystkie transporty mimo zatrzymywania przez nas ruszają pod groźbą ze strony dowódców — jeszcze jeden transport wyrusza niebawem z Łęczycy”.

Oczywiście ten ostatni jest nasz — jeden baon. Pytam dalej, czy są wiadomości, jaki transport idzie z Torunia.

„Transport 7 składający się z 97 osi”.

„Czy z Torunia, czy z Poznania przez Toruń?”

„Tego nie wiadomo... chwilę czekać... na stacji czwarty transport z Poznania Nr 50786...”

„Ile osi?” — „Osi 120... stanowi drugą część 56 pułku piechoty... liczba 365 ludzi”.

„Dyspozycja Ministerstwa zatrzymać te transporty... dowódcy mają porozumieć się ze Sztabem Generalnym...”

„W jaki sposób — tak-tak-tak”.

„Co w jaki sposób...”

„Porozumieć się” — stuka aparat.

„Telegraficznie i telefonicznie...”

Aparat stuka, taśma się zwija, duch Hughesa zastanawia się.

Taśma 19 stuka wciąż dalej: tak-tak-tak...

Znowu litery. „Tu podchodzą dowódcy poszczególnych transportów — tak-tak-tak — proszę uważać tak-tak”.

„Niech mówią ze Sztabem...”

„Dzwonią... trudno się porozumieć... Chcą aparatem...”

„Będę pośredniczyć... proszę czekać”.

„Nie ma czasu czekać...”

„Kto mówi...”

„Zastępca dowódcy transportu podpułkownik Radziwo... Radziwanowski Sergiusz”.

„Cześć panu pułkownikowi. Na skutek zawieszenia broni ministerstwo kolei ma rozkaz zatrzymać wszelkie transporty tam gdzie są — ruch pociągów wojskowych aż do ukończenia pertraktacji ma być powstrzymany. Transporty czekają na miejscu na dalsze rozkazy”.

„Proszę podać — tak-tak-tak — funkcję służbową...”

„Jaką funkcję...”

„Czyja dyspozycja...”

„Płk. Błęszyńskiego, oddz. 3 Sztabu Generalnego... szef oddziału...”

„Zamelduję dowódcy — tak-tak”.

„A kto dowódca...”

„Pułkownik Łęgowski...”

Niestety płk. Łęgowski do aparatu widać nie przybył. Podobno porozumiewał się tymczasem telefonicznie z Poznaniem i otrzymał rozkaz pchać się siłą i nie dać się przekonać.

Na tym się więc urwały nocne rodaków rozmowy...



Po dłuższym czekaniu dowiedziałem się, że transport ten (właściwie z Krotoszyna, a nie z Poznania) sterroryzował obsługę i wyruszył — ruszył na dalsze przeszkody i zatory.

Kazałem zatrzymać następne. Było już dobrze po drugiej. Nadeszła wiadomość, że wileński pociąg zajechał na Dworzec Wschodni.

Na ulicach panowała cisza...

OSTATNI DZIEŃ

14 maja 1926 r.

Mimo że już było jasno, walka się ociągała. Rozpoczął ją dopiero łoskot silników lotniczych jak wczoraj. Tym razem nasze wojsko szło naprzód. Nastąpiło w ciągu nocy przegrupowanie, odczuło się przypływ sił — rozpoczęła się ofensywa grupy warszawskiej.

Siłę tej ofensywy odczuliśmy od razu — ziemia bezpańska wraz z budynkiem Ministerstwa Kolei i nami, zakonspirowanymi jego władcami, już około 4 rano była odzyskana przez nasze oddziały.

Zbudzona Warszawa zbiera się grupkami przechodniów za posuwającymi się lub leżącymi tyralierami wojsk, narażając niepotrzebnie życie ludzi i zdradzając swym zachowaniem się nasze linie — warszawiakom najwidoczniej się zdaje, że kule mogą razić tylko kombatantów, ich zaś będą oszczędzać.

O 4.40 rano tłum na Nowym Świecie był już tak liczny i nieustępliwy na wezwania moich oficerów o podoficerów, że alarmowałem o policję Komisariat Rządu i telefonicznie i na piśmie.

Od wczoraj Komisariat Rządu przeszedł w nasze ręce — dotąd na naszym terenie i wśród naszych wojsk w najlepsze władzę sprawował p. Tłuchowski. Komisarzem Rządu (choć rządu po naszej stronie nie było) został gen. Sławoj-Składkowski i policja musiała wykonywać jego rozkazy.



Nadeszły upragnione wiadomości z Kielc i z lubelskiego. By-

ły już w biegu trzy transporty: jeden — Zamość-Chełm, drugi — Lublin, trzeci — Kielce. Po północy dwa transporty przeszły przez Dębin, nie zatrzymane przez miejscowy pułk, o którego stanowisku zresztą brakło wyraźnych danych. Częstochowa nie alarmowała — transporty śląski i krakowski nie przekroczyły naszej częstochowskiej bariery. Lwów się nie ruszał. Szukamy gdzieś po torach 17 pułku piechoty... Transporty poznańskie i pomorskie, najgroźniejsze, szły falami; stawiane przez nas przeszkody powstrzymywały je wydatnie. W razie gdyby zniszczenia i zatory nie wystarczyły, pozostało jeszcze użycie przez naszą dyрекcję dzikiego parowozu w promieniu dziennego marszu piechoty. W ten sposób ubezpieczona na torach nasza ofensywa miała warunki do wykorzystania uzyskanej przewagi.



Ofensywa odnosi sukcesy. Śledzę jej bieg patrolami, które przynoszą mi wiadomości, utrzymując styczność z linią, która się oddala. Oczywiście wiadomości przychodzą z opóźnieniem i nie zawsze patrole pamiętają czas, w którym ustaliły sytuację.

Notuję pod 11.30: Szkołę Sztabu Generalnego zdobył 37 pułk pod dowództwem płk. Bortnowskiego na poznańczykach i marynarzach.

Front ciągnie się od filtrów przez Koszykową, Wilczą aż do placu Trzech Krzyży, skąd Książęcą, Ludną do mostu Poniatowskiego.

Na prawym skrzydle stwierdzono 5 p. p. Legionów pierwszy z wileńskich transportów, z kierunkiem na lotnisko, które już jest w naszym ogniu, dalej w lewo 37 pułk łączy z 1 p. szwoleżerów, dalej znów 71 p.p. już w naszych szeregach i 7 p. ułanów przy moście. Po drugiej stronie Wisły ku Miedzeszynowi za wałem wiślany posuwa się kolumna 1 p. Legionów i 11 p. ułanów. Skonstatowano 36 p.p. częściowo na placu Trzech Krzyży i 22 p.p. na Brackiej — odwody przy Br. Jabłkowskich, na pl. Wareckim (Napoleona), na Pradze.

Na Brackiej gdzieś koło Koszykowej baon rembertowski, szkoła sanitarna, jakieś oddziały strzelców.

Koło godz. 10.45 wpadł w nasze ręce gmach sejmowy.

Walka było uporczywa, opór silny, front posuwał się wolno, jednak stale — zdobycie Szkoły Sztabu na Koszykowej zrobiło poważny już wylom w obronie.

Patrole moje w ciągłym ruchu. Chłopcy rwali się do tej pracy, żeby coś zobaczyć i choć trochę „być na froncie”, otrzeć się o linię.

Gdy wracali, widać było, że jest dobrze, że łamie się już front rządowy.

Ten sam nastrój panował już i w Ministerstwie i w Dyrekcji — radość biła z oczu.

Za to gorzej z wyglądem zewnętrznym — mundury wymięte, obrośnięci, nieogoleni — *poilus* z gabinetu pana Ministra...

Nic tak nie skutkuje na porost włosów jak wojna lub rewolucja. Wyrabia też pierwszorzędne apetyty — niestety, odżywianie sztukowane.

Mówią, że Francji rewolucja nie grozi, bo musiałaby się skończyć przed obiadem. Taka jest dyscyplina obyczajów i siła francuskiej kultury. I jej słabość...

A my przagniemy, by nasz żołnierz był kulturalny... *Apage!*



O godz. 14.40 nowe zestawienie sytuacji. Sukcesy nasze na prawym skrzydle po zdobyciu Szkoły Sztabu coraz większe — nasze wojska wkroczyły na lotnisko, dlatego też loty ustały — szwoleżerowie zapuścili się na Mokotów! W centrum front biegnie przez pl. Zbawiciela, Mokotowską, Piękną. Byle by nie nadeszły nowe siły rządowe!



Kroczy Nowym Światem jakiś oddział ochotniczy — strzelcy nie strzelcy, może rezerwiści, może strajkujący z P.P.S. Ubrania cywilne, bluzy stare, maciejówki, cyklistówki, kapelusze, stare czapki wojskowe. Dowódca w hełmie, legionowa bluza z krzyżem walecznych, cywilne spodnie, karabin przez ramię. Bez zarostu. Twarz opalona, poorana. Prowadzi swój oddział spokojnie, środkiem jezdni, na plac Trzech Krzyży.

Tak mógłbym sobie wyobrazić Barykę z „Przedwiośnia”, gdy szedł na Belweder. Może przez to mimowolne skojarzenie wrażenie było silne.

Miałby się teraz nad czym zastanawiać redaktor „Kuriera”: demonstracja, bunt czy może rewolucja?



Hughes pracuje. O 15.40 donosi Łowicz, że między Strzałkowem, Kutnem i Toruniem w biegu 9 transportów poznańskich i pomorskich — do Łowicza przybyły 2 transporty toruńskie!

Koło godz. 17 jakiś kordon policji musiał się przerwać na Nowym Świecie i tłum szybko wypełnił ulice do pl. Trzech

Krzyży — front się oddalił gdzieś ku ul. Szopena. Atak był w pełni. Z parku Skaryszewskiego grały na dobre armaty. Tłum był poważny, niespokojny, podniecony. W jednej chwili falą przeszedł okrzyk po ulicy. Tłum krzyczał w entuzjazmie: „Niech żyje Marszałek Piłsudski!”

Wybiegłem na balkon. Jeźdźnią w otwartym wozie od strony pl. Trzech Krzyży pędziło dwóch wojskowych — jeden zapewne oficer, trzymał sztandar Prezydenta Rzeczypospolitej. Więc Belweder padł...

Za chwilę pobiegłem do Dyrekcji. Płk. Gąsiorowski miał już trochę wiadomości. Belweder padł istotnie, ale wojska rządowe częściowo uszły w kierunku na Wilanów-Wierzbno — mniej więcej dawnym szlakiem gwardii cesarskich wielkiego księcia Konstantego.

Niedobitki są ścigane.

◆

Odzywają się tory. Między Sochaczewem a Warszawą są już transporty poznańskie. Na torach pod Ożarowem i przy Gołąbkach wywróciliśmy parowozy — przejechać nie można. Wyładunki się odbywają od Błonia: w Płochocinie, Ożarowie. Jakiś transport o godz. 20 wyładował się w Sochaczewie i stamtąd maszeruje pieszo — za nim tamże rozładowuje się drugi. Na stacji zostają z braku węgla próżne składy i zatarasowują dojazd następnym.

◆

Zaczyna się odzywać tor z Częstochowy. Milczał cały dzień. O godz. 21 rusza ku Warszawie 3 p. ułanów. Podobno przybył do Częstochowy z Belwederu sam płk. Kurcusz, szef oddz. IV sztabu, aby zapewnić przejście transportom rządowym.

Kolejarze reagują — o 21.18 zrywają tor Koluszki — Rokiciny. Tymczasem transporty gen. Galicy — 7034, 7028, 7029 — ruszają o 21, 21.15, 21.45.

Aby zatrzymać te transporty, w nocy o 2.30 wysadzono wiadukt między Słotwinami a Gałkówkiem i zawalono tor pod Koluszkami; będą to musiały odczyszczać nadchodzące transporty śląskie.

W Skierniewicach 18 p.p. okopał się, by zamknąć przejście rządowym transportom.

◆

Pod Opatówkiem w Radliczycach tor rozebrały wojska po-

znańskie, aby nasze oddziały z Łodzi wypadem nie zagroziły transportom poznańskim.

Jakiś oddział poznański wyładowały się w Kutnie, w Łowiczu, w Bednarach — zapewne okupacja szlaku, aby forsować drogę do Warszawy.

Przed trzecią na st. Szymanów transport wojskowy Nr 474 wpadł na 476 stojący na stacji: siedem wagonów rozbitych, wielu rannych. Po pewnym czasie transporty pchają się dalej.

W Ożarowie koncentracja — mimo olbrzymiego nieraz opóźnienia (pociągi z Brodnicy idą 24 godziny, śląskie 48), transporty jednak dochodzą koleją i pieszo, i siły w Ożarowie rosną: piechota, artyleria, kawaleria.

ZAKOŃCZENIE

15 maja 1926 r.

Rano, o godz. 5 telefonogram ppłk. Kalińskiego z Dyrekcji: „Rząd zatrzymany w Augustynowie. Prezydent podpisał zmianę rządu i swoją rezygnację”.

Nareszcie chyba koniec.

Ale co na to Ożarów?

Odpowiedź przynosi o godz. 7.40 telegram Nr 495 Prezesa Dyrekcji Warszawskiej do wszystkich podległych urzędów:

„W Augustynowie pod Warszawą został zatrzymany przez wojska Marszałka Piłsudskiego dotychczasowy Rząd Witosa wraz z Panem Prezydentem Rzeczypospolitej Wojciechowskim. Pan Prezydent podpisał usunięcie dotychczasowego gabinetu. Marszałek Piłsudski z Panem Prezydentem Wojciechowskim i Marszałkiem Sejmu Ratajem ustalają formę nowego Rządu. Na skutek powyższego działania wojskowe zostały wstrzymane. (—) Prezes Dyr. Warsz. w z. Zienkiewicz”.

Owe „zatrzymanie Prezydenta” i „usunięcie gabinetu” przez Pana Prezydenta w urzędowej depeszy — rozbrajające! Ale najważniejsze to wstrzymanie działań — trzeba bezwzględnie to sprawdzić. Sztab dotąd nie potwierdza tych wiadomości i przestał interesować się nami. W mieście walk nie ma, z Ożarowem toczą się rokowania. Wynik niewiadomy, zwłaszcza wobec wzrostu sił w Ożarowie.

A może Ożarów szykuje się do ofensywy? W każdym razie pomyślano by opanować główną linię komunikacyjną przez Kutno do Warszawy, — właśnie melduje mi od rana dyspozytor Kozłowski, że tę linię kolejową należącą do dyrekcji warszawskiej zaanektowała poznańska dyrekcja kolejowa a węzły kolejowe ob-

sadziły oddziały poznańskich wojsk. W tej chwili trudno nam już dysponować tam zawiadowcami i służbą ruchu.

Połączyłem się z wiceministrem kolei, p. Eberhardtem, i uzyskałem jego podpis na telegramie Nr. 400, który puściłem po linii na Toruń i na Mławę, zapowiadając za niewykonywanie zarządzeń warszawskich „represje z całą bezwzględnością”. Wobec wiadomej mu abdykacji Prezydenta p. Eberhardt nie czynił już żadnych zastrzeżeń.

Wysłałem ten telegram o godz. 7.20 rano nie wierząc zbyt w jego skuteczność, mimo że od „legalnej” władzy pochodził. I okazało się, że się nie pomyliłem: nieco później meldował telegraficznie z Mławy zawiadowca Borowy, że st. Iłowo dalej depeszy puścić nie chce.

Z linii nadchodzą do nas co chwila nowe żądania składów wagonowych dla transportów wojskowych mających iść nam w sukurs. Domaga się szczególnie Dyrekcja Radomska dla wojsk z lubelskiego D. O. K. Między innymi mjr. Hyc z Dębłina zapowiada do Warszawy dwa pociągi pancerne „Danuta” i „Sosnkowski”. Jakże by się one nam przydały dnia 13 i dnia 14-go; obie linie na Sochaczew i Skierniewice byłyby po dziś dzień w naszym ręku a może zakończylibyśmy walki o dobę wcześniej!

Udaje mi się telefonicznie schwycić w Sztapie generalnym oddział czwarty. Okazało się, że tę ważną, zwłaszcza dla mnie, funkcję pełni Scevola (Wieczorkiewicz) więc dogadaliśmy się w lot: „Sytuacja jeszcze nie jest całkowicie pewna, transporty własne ściągać”. Przy tej sposobności obiecał Scevola wydać rozkaz dla KOP’u by nie zatrzymywał tranzytowych pociągów za granicę, jak się stało w Zdołbunowie — była to bolączka Ministerstwa Kolei, któremu z tytułu wstrzymania tranzytów groziły straty i odszkodowania.



Wobec tej nieustalonej sytuacji Kuryłowicz decyduje się zastrzyć strajk kolejowy. O godz. 10.45 nadaje na wszystkie linie nowe telegraficzne wezwanie do strajku, by nie dopuszczać nowych transportów.

Aby skończyć z niejasnością sytuacji decyduje się jechać po wiadomości i instrukcje do Sztabu Generalnego.

Starszy woźny Pietrzak zaordynował natychmiast wspaniałe ministerialne torpedo, którym „poilu z gabinetu pana Ministra” — udaje się na plac Saski. W ministerstwie został mjr. Wróblewski.

Przed Sztabem auta, motocykle, jakiś oddział biwakuje — na schodach i na pierwszym piętrze *rendez-vous* towarzystwa.

Przy oknie w poczekalni jakby obcy temu zgiełkowi gen. Kessler i płk. Kutrzeba — jeden był szef sztabu generalnego, drugi dawny szef sztabu armii gen. Smięgo na froncie — obaj przybyli z Wilanowa. Czekają.

Moc kolegów i znajomych. Spotygam Scewołę Wieczorkiewicza, Kowalskiego (artylerzystę), Wendę, Bleszyńskiego, Kwiatka, — jest Rola-Janicki, Miszewski i inni.

Każdy chętnie coś opowiada ale z tych opowiadań bez początku i końca trudno sobie całość odtworzyć.

W każdym razie dowiedziałem się, że sytuacja wyklarowała się właściwie już w nocy, kiedy koło 11-ej zameldował się u Komendanta w Sztapie kapelan Prezydenta ks. prałat Tokarzewski i zamknął się z nim Komendant w swym pokoju narożnym na pierwszym piętrze z oknami na pomnik Poniatowskiego. „Zostawcie nas samych, to mój przyjaciel” miał powiedzieć Komendant Miszewskiemu.

Po wyjściu prałata koło 2-giej w nocy dowiedziano się, że Prezydent rezygnuje z dalszej walki i abdykuje w ręce Marszałka Sejmu a dymisja Witosa podpisana — na 8 rano Komendant jedzie do Rataja na konferencję.

Rano też Komendant wyjechał autem do Sejmu, za nim drugim — Beck i Wieniawa. Stało na tem, że Rataj miał zlikwidować walki, mianować rząd według wskazówek Marszałka — prosił natomiast o imunitet dla rządu Witosa i o zabezpieczenie Witosowi swobodnego dojazdu do Wierzchosławic.

Z Ożarowem — rozejm; Wilanów się likwiduje i „amt” likwidacji ma Wenda.

W ogóle w Sztapie rojno chociaż pracuje kilka zaledwie wydziałów, doraźnie obsadzonych. Scevola ma oddział czwarty, Bleszyński trzeci, pracuje Kowalski nad O. de B. oddziałów walczących stron (rzecz najtrudniejsza wobec często niejasnych wiadomości), pracuje Rola-Janicki — większość jednak jest tu bez żadnych przydziałów. Miszewski mówi, że bodaj najwięcej w tych dniach było krążowników, tak przewidzianych, nie dlatego by markowali naszą morską flotę wojenną lecz dlatego, że krążyli ciągle między Belwederem a placem Saskim.

Sztabem kieruje gen. Burhardt-Bukacki, wezwany do Sztabu w dn. 12 maja przez gen. Malczewskiego; — po ewakuacji tegoż do Belwederu Burhardt oddał się do dyspozycji Marszałka i sprawował czynności Szefa Sztabu — wojskami w Warszawie dowodził gen. Dreszer i dowództwo jego grupy stało w Komendzie Miasta.

Miszewski pełnił osobistą służbę przy Komendancie. Opowiadał swe niektóre wrażenia, w szczególności o rozmowie z Komendantem gdy po wyczerpującym dniu układał Go niby garderobiana do snu w łóżku Scevoli Wieczorkiewicza. Komendant miał całą twarz zimną lecz z uporem twierdził, że to nic, bo ma *la tête froide d'un chef*, jaką musi mieć wódz według napoleońskiej charakterystyki. Tłumaczył Miszewskiemu, że to wcale nie jest nawet siła woli, ale, że „człowiek przynosi z sobą w życie skrzynię pełną różnych wartości, które musi w życiu wydać” — chodzi o odpowiednie dla nich okoliczności... Czy nie tkwi w Komendancie jakiś głęboki fatalizm?...

Nikt nie wie jaki będzie rząd. Na razie niektóre tylko stanowiska rządowe zostały obsadzone zapewne prowizorycznie. Z rozkazu gen. Dreszera Kniaziołucki wprowadził na kierownika do Spraw Wewnętrznych Jaroszewicza (Wł.) a Mak-Piątkowski, który po wyjściu z gen. Sławoj Składkowskim z gmachu Min. S. Wojsk. dowodził żandarmerią, wprowadził z rozkazu Komendanta do Min. Spraw Zagranicznych, na kierownika, p. Knolla.

Makowi ciężkie przypadło zadanie obrony przed ekscesami oraz zwalczania *freischützów* — pomocną mu w tym jest milicja P. P. S.

Pytano mnie o różne szczegóły i dzieliłiśmy się informacjami aby wyjaśnić sobie wiele niejasnych sytuacji. Zaskoczyła mnie wieść o śmierci Mietka Więckowskiego, który dowodził pułkiem w Chełmie. Był to jeden z najsympatyczniejszych czwartaków... Zastrzelił się w Chełmie na dworcu — bliższe szczegóły przywiezie pewnie Kniaziołucki, który wyjechał do Lublina.

Bardzo bolesną ponieśliśmy stratę w osobie Frank-Wiśniewskiego, tego oficera i dobrego kolegi. Zginął dowodząc na ulicy w drugim dniu. Jako szef sztabu dywizji w Zamościu, porwany w Warszawie na urlopie wirem walki, nie chciał już wracać. Ale najbardziej nieoczekiwana wiadomość: kochany ksiądz kapelan Ciepichał ranny!

Najbardziej, jak się okazuje, niepokoił się Sztab sytuacją we Lwowie, w którym jakieś załadowania wojsk odbywały się od początku. Mimo strajku maszynistów i drużyn konduktorskich, niektóre pociągi obsługiwali inżynierowie i wojskowe drużyny kolejowe, a także maszyniści emerytowani. Niebezpieczeństwo jednak minęło bo po sztabie krążyła uporczywie wieść, że Komendant otrzymał list od gen. Sikorskiego ze Lwowa, że generał się zgłasza do dyspozycji Komendanta i wysuwa swe wnioski „likwidacyjne”.



W gabinecie sekretarza Ministra Kolei od godz. 20 wieczorem czekają kolejowi dygnitarze. Ma przyjechać i objąć władzę premier nowego Rządu Bartel — w jednej osobie premier i minister kolei.

W skład rządu wchodzi Wacław Makowski, August Zaleski, Hipolit Gliwicz, Piłsudski, ale także szereg ministrów o szarych, nic nie mówiących obliczach. Nie powiem żeby mi się to bardzo podobało...

Uroczyście, trochę niespokojnie w gabinecie — ostrożna wymiana wrażeń, wymiana wspomnień z czasów poprzedniego piastowania teki tego ministerstwa przez prof. Bartla — za innych rządów.

Pora na obejmowanie rządu niezwykła — no, ale i czasy niezwykłe.

Czekanie przedłuża się godzinę i więcej.

Koło 21.30 telefon powiadamia: pan premier już jedzie.

Klatka schodowa świeci się *a giorno*.

Zszedłem do hallu w towarzystwie 2 oficerów — reszta oficerów w gabinecie: wszyscy oczyszczeni, ogoleni, uczesani. Usunięte ślady okopowej *tenué*, wyglądy uroczyste, odświeżone.

W hallu czekaliśmy już niedługo, ale z niecierpliwością na naszego premiera. Gdy wszedł, meldujemy się z całym wykwin-tiem żołnierskiego stylu.

Obejście premiera proste, serdeczne, rubaszne.

Następuje przedstawienie dygnitarzy. Wszyscy, nawet starzy znajomi, patrzą z czołobitną ciekawością na premiera z ognia rewolucji majowej, jakby to nie był ten sam Bartel z gabinetów poprzednich bez wczoraj i bez jutra.

W gabinecie ministra pan premier usiadł za biurkiem oficerowie pod ścianą, dyrektorzy i naczelnicy w rządach.

Na wstępie oświadcza pan premier, że nie mógł odmówić panu Marszałkowi Ratajowi przyjęcia ciężkiej misji rządzenia w chwili tak wyjątkowo tragicznego wstrząsu, jakiego doznało życie polityczne państwa w jego prawnych podstawach. Misję tę przyjął pan premier pod tym tylko warunkiem, że nastąpi przywrócenie poszanowania konstytucji i powrót do normalnego trybu życia państwowego.

— W tej ciężkiej pracy nad przywróceniem zasad praworządności dodaje mi otuchy wiara, że dzięki panów pomocy i lojalnej panów współpracy uda mi się to osiągnąć.

Gdy pan premier dzielił się dalej swymi troskami, ktoś z miejsca zwrócił mu uwagę na nas, siedzących pod ścianą oficerów.

Pan premier spojrział na nas badawczo, jakby ze zdziwieniem, i spytał:

— A co tu panowie robią?

Byłem zaskoczony — przecież w hallu wyraźnie meldowałem premierowi naszą rolę.

— Jesteśmy tu z rozkazu pana Szefa Sztabu, panie premierze — odpowiedziałem.

— A, to co innego — bardzo dziękuję — prawdopodobnie jutro będą panowie wolni.

Długo jeszcze mówił pan premier, a gdy pożegnał oficerów i urzędników, zapytałem go, czy wie, że ci, do których przemawiał, nie tylko z nami nie sympatyzują, lecz w większości swej żywią do nas wyraźną niechęć.

Pan premier poklepał mnie serdecznie po ramieniu:

— Naturalnie. Któż może ich lepiej znać ode mnie. Znam ich, bardzo dobrze znam. Ale nie dziwcie się, że tak mówiłem. Zrozumcie, że to polityka, pułkownik, to polityka...

Nie przyznałem się panu premierowi, że nie zrozumiałem. Zrozumiałem atoli, że rola żołnierza już się skończyła.

DOPISKI

W okresie, w którym rozpoczynają się fragmenty pamiętnika, Prezydentem Rzeczypospolitej był Stanisław Wojciechowski, rządy sprawował premier Władysław Grabski, tekę ministra Spraw Wojskowych miał gen. Władysław Sikorski, Szefem Sztabu Generalnego był gen. Stanisław Haller.

Sejm składał się z około 20 stronnictw, wśród których najliczniejszymi były Zw. Ludowo-Narodowy (ND) — 100 posłów, Stronnictwo Ludowe Piast (Witos) — 53 posłów, Stronnictwo Ludowe Wyzwolenie — 53, Polska Partia Socjalistyczna (PPS) — 41 i td. Dla absolutnej większości trzeba było 223 posłów. Żadne stronnictwo tej większości nie miało.

Marszałek Piłsudski w dniu 30 czerwca 1923 roku zrzekł się ostatniej swej godności Przewodniczącego Rady Wojennej i odtąd mieszkał w Sulejówku, gdzie pisał swą pracę „Rok 1920”. W tym czasie wygłosił szereg wykładów o roku 1863 i o pracy wodza. Zabierał niekiedy głos w sprawach aktualnych w drodze wywiadów prasowych lub artykułów własnych.

Komisja historyczna o której mowa na początku wspomnień była powołana we wrześniu 1925 r. przez Ministra Spraw Wojskowych gen. Wł. Sikorskiego dla zbadania stanu aktów operacyjnych z wojny 1920 r.

Powodem powołania komisji był list otwarty Marszałka Józefa Piłsudskiego z dnia 6 września 1925 r. jako komentarz do Jego mowy na Zjeździe Legionowym z dnia 9 sierpnia 1925 r., w liście tym Marszałek sprecyzował swe zarzuty przeciw Biuru Historycznemu, w którym przy pisaniu swej pracy „Rok 1920” stwierdził brak ważnego dokumentu oraz znalazł dokument inny, którego wiarygodności zaprzeczył.

Komisja była w składzie: prof. St. Zakrzewskiego, prof. Wł. Konopczyńskiego, płk. W. Tokarza i płk. B. Gembarzewskiego pod przewodnictwem gen. Leonarda Skierskiego.

Dnia 13 listopada ogłoszono orzeczenie tej komisji, które mimo, że stwierdza pewne braki w archiwum, nie dopatruje się jednak w tym winy ze strony Biura. Gen. Leonard Skierski nie zadowolili się tym formalnym ujęciem sprawy i ogłosił swoje odrębne oświadczenie w którym, sięgając do głębi istoty sporu, stwierdza że „przesłanie postaci Naczelnego Wodza jest fałszem wyższego rzędu”, że „historia była i jest fałszowana w sensie powyżej wyłożonym” i że „autorytetowi byłego Naczelnego Wodza wypowiedziano od początku jego działalności wojnę” oraz że „dzieje się przez to armii krzywda moralna”.



Z dniem 13 listopada zbiegła się dymisja gabinetu Wład. Grabskiego.

Następnego dnia Marszałek Piłsudski złożył w Belwederze deklarację w której „jako poprzednik w naczelnej reprezentacji Polski i jako ten, co armię formował, a nią w najcięższych próbach na wojnie dowodził, wreszcie jako ten co w wojsku najwyższą ma rangę” ostrzegał Pana Prezydenta przed przetargami teką wojny dla celów politycznych.

Po 10 dniach przesilenia mianowany został gabinet Al. Skrzyńskiego w skład którego weszło również 2 ministrów z P. P. S. (Moraczewski i Ziemęcki), którym przypadły teki Robót Publicznych i Opieki Społecznej, dwie teki otrzymało stronnictwo Witosa, koleje min. Chądzyński (NPR), narodową demokrację reprezentował min. J. Zdziechowski (skarb) i St. Grabski (oświata). Wojsko objął kandydat Komendanta gen. Lucjan Żeligowski, zdobywca Wilna. Stało się to dopiero po długich namysłach dnia 27-go listopada do którego to czasu tekę ministra S. Wojsk. piastował gen. Majewski.

Po manifestacyjnym pobycie dn. 13 listopada oficerów w Sulejówku min. gen. Sikorski przeniósł gen. Dreszera do Poznania. Nadto wydany komunikat Min. Spraw Wojsk. w sprawie tej manifestacji oficerów brzmiał: „W związku z uczestnictwem niektórych z oficerów w manifestacjach o charakterze politycznym lub interpretowanych przez prasę jako polityczne Minister Spraw Wojskowych wydał surowy zakaz brania udziału w tych manifestacjach z tym, że niestosujący się do tego rozkazu muszą być przez swoich przełożonych pociągnięci do odpowiedzialności według obowiązujących regulaminów i kodeksu karnego”.



Należałoby się kilka słów więcej wyjaśnienia o W. Stpiczyń-

skim, postaci już dziś z pewnością historycznej. Wojciech Stpicyński nie miał jeszcze trzydziestki lecz był w pełni swej *Sturm und Drang Periode*. Ktoś z jego wrogów — a mógł się on poszczyścić ich wielką obfitością — nawet jego urodę uznał za szkaradną. W istocie Stpicyński widział tylko na jedno oko a drugim, które nie widziało, zezował. Ale wzrost miał słuszny i figurę zgrabną, mówił z temperamentem, trochę nawet gestykulował. Pisał łatwo — może łatwość pisania, jak to często bywa, w konsekwencji powodowała pewien pośpiech w wypowiadaniu sądów. U publicyści wyraża się to w skłonności do pamfletu — publicystyka polska niewiele miała pamflecistów dużej klasy, jakim był Nowaczyński, jakim jest Cat-Mackiewicz, a Wojtek niewątpliwie był pamflecistą utalentowanym i z upodobania — jak koń szwoleżera, aż parsknął gdy szedł do szarży, a obrony nie lubił.

Od lat młodzieżowych był patriotą bojowym: skautem, peowiakiem, zaraz po wyzwoleniu zaciągnął się na Śląsku do powstania. Nie wiem czy z tym swoim temperamentem zdołał skończyć architekturę, w której się szkolił. Publicystyka była jego powołaniem i jej pozostał wierny aż do chwili, gdy umarł w Paryżu jako redaktor „Gazety Polskiej” w r. 1937. Skończyła go gruźlica.

W okresie „przedmajowym” — proponowałbym go nazwać okresem Sulejowskim najnowszej historii Polski — Wojtek zakłada pismo periodyczne „Głos Prawdy” — piszą w nim „nasze pióra”, które żyły bez honorariów. „Głos Prawdy” był tygodnikiem małego formatu na wzór Niemojewskiego „Myśli Niepodległej”, którą niemal od pierwszej do ostatniej strony wypełniał jej redaktor — Adam syn Andrzeja. Wojtek miał lepiej. Pomagał mu Kazek Świtalski, Adam Koc, Stefan Starzyński — a czasem, choć niezbyt często, niżej podpisany. Niezbyt często, głównie dlatego, że w tym samym czasie wydawałem własne pismo lotnicze „Lot Polski”, które było moim dzieckiem, moim hobby i moją pociechą. Rosło jak na drożdżach w naszym kraju ledwie kiełkującym lotnictwem i robiło wkoło siebie ruch, o jakim przed paru laty nikt na pewno nie marzył. Ale też absorbowało mnie ogromnie. Wojtek i Koc nawet bardzo się na mnie nadawali, że nie mogłem im w „mojej” drukarni uzyskać kredytu, ale drukarnia nie była moja i nie bardziej do tego skłonna od Buriana, który im to pismo drukował.

Wojtek miał zaczepny charakter, a każda dostrzeżona niecnota nie dawała mu spocząć: atakował natychmiast, czasem ze swą szkodą, bo zanim zdobył do ataku pełną dokumentację i zanim dobrze sprawdził posiadaną — w ten sposób przedwcześnie alarmował przeciwnika i dawał mu możliwość zacierania śla-

dów. Jego „Głos Prawdy” w czasie francuskiej rewolucji miałby sukces równy słynnemu piśmisku „Père Duchêne” — ale my, rzekomi Francuzi północy mamy mniejszy temperament od Wojtka Stpiczyńskiego.

Niemniej, jego „Głos” był powszechnie czytany i uchodził za nasz głos — „głos zdecydowanych piśsudczyków — głos „wściekłych”. Stpicz, nie mogło być inaczej, zbierał nieobliczalną ilość spraw sądowych z prywatnego oskarżenia — o potwarte, o zniewagę, o takie czy inaczej ubliżenia. Ale ubliżał dalej. I ja go rozumiem — nieczułość tych właśnie ludzi, którzy żyli prywatą a kraj im był raczej obojętny, była taka, że tylko zniewaga wyższej rangi mogła ich poruszyć. Któregoś dnia sąd połączył na wokandzie naraz kilka spraw Stpiczyńskiego — był to więc, jak mówiono, jego „sądny dzień”.

Sądny dzień zakończył się słabym dlań wyrokiem: łącznie dostał pół roku i bardzo to go gniewało. Zdaniem moim powinien był krzyknąć „Hosanna”, bo osoby skarżące nie należały wcale do maluczkich tego świata. W „hurcie” jednak wypadło Wojtkowi taniej. Niestety, z hurtu spraw sąd wyłączył jedną — sprawę o spotwarzenie generała Włodzimierza Zagórskiego. Zależało na niej każdemu z nas, wściekłych, ale mnie przede wszystkim, bo generał był szefem departamentu lotnictwa, ja prowadziłem Ligę Obrony Powietrznej i wydawałem „Lot Polski” i walkę z generałem na własnych nosłem barkach. Generał zakazał mi pracy w Lidze, odwołał z Ministerstwa Komunikacji, gdzie kierowałem całym lotnictwem cywilnym i komunikacyjnym a Zagórskiego jawnie uznawałem za bluffera i szkodnika. Za to przydzielił mnie do swego ścisłego sztabu by mnie dręczyć codziennie i jak najgorszą mi wystawiać opinię. Na moich jednak ocenach o nim opierali się ci posłowie do Sejmu co w końcu interpelacjami swymi w kwietniu 1926 r. uzyskali odwołanie go z jego stanowiska przez gen. Żeligowskiego.

Ale sprawa Stpiczyński-Zagórski przeniesiona została na idy marcowe. Wyrok zapadł 16 marca uniewinniający Stpiczyńskiego. A przecież Stpiczyński oskarżał urzędującego generała nawet nie o marnotrawstwo grosza publicznego, nadużycia z Frankopolem który narażał skarb na grube straty, nawet nie o bezkrytyczne zakupy wyrażerowanych samolotów zagranicą, miast budować je w kraju, i nie o odstępowanie obcemu kapitałowi polskich przedsiębiorstw i o aktualne szkodnictwa. Oskarżał generała o szpiegostwo w Legionach na użytek austriackiej K-Stelle a potem, gdy utworzono po rozbiciu Legionów pruski *Polnische Wehrmacht* — Zagórski w jego sztabie trudnił się donosicielstwem wydając nazwiska tych legionowych oficerów, którzy przywdziewszy mun-

dur szeregowca poszli do obozu jeńców w Szczypiornie wraz z szarą bracią żołnierską, zamiast do oficerskiego obozu w Benjaminowie dla oficerów co nie złożyli przysięgi Wehrmachtowi. Tych ukrytych oficerów wyłapano w Szczypiornie i wywieziono do karnego obozu w Havelbergu. Stpiczyński niezbitcie także udowodnił, że Zagórski aresztowywał oficerów piłsudczyków. „Posyłałeś pan kolegów, wołał na sądzie Stpiczyński, pod stryczek austriackiej szubienicy!” Ten zakres wziętem na siebie dla moich sejmowych interpelantów — ale zarzucał mu zbrodnie z chwalebnej epopei legionowej, której tenże Zagórski zawdzięczał generalskie szlify.

I mnie kiedyś także zdarzyło się być pod tym stryczkiem. Było to w lutym 1916 roku: aresztowany z jego rozkazu sprawę w c. k. sądzie polowym w Lublinie jednak wygrałem. obrońcą moim był Herman Lieberman.

Na swą obronę miał Zagórski jedno tylko słowo: „Tak, robiłem to wszystko dla Polski i w interesie Ojczyzny”.

To słowo było potworne, okrutne, szatańskie. Z jakim naciśnięciem przypominał się ten smutny, legionowy fragment pieśni „Ojczyzno polska, każdy kiej się zbawia”.

Stpicz dostarczył oryginału donosu generała na oficerów do władz niemieckich. Sprawę wygrał. Sąd polski był niezależny i oddalił skargę generała, wysokiego szefa lotnictwa, faworyta Sikorskiego i Szeptyckiego, Stanisława Hallera i marszałka senatu Trąpczyńskiego oraz przyznał rację owemu „szkaradnemu redaktorowi” bez oka. Ten wyrok zmiażdżył Zagórskiego. Już niewiele mieli trudu sejmowi interpelanci — a i ja przy nich — by generała usunąć z lotnictwa. Uczynił to Żeligowski. Zaproponowano mi nawet jego miejsce — w sportowych zawodach może by mi się należało, ale nie mogłem się na to zgodzić jako ten, który główną wykonał rolę przy jego usunięciu. Uchodzić by to mogło za prywatę. Następstwo przejął Ludomir Rayski. Od procesu ze Stpiczyńskim przyszła zła passa na Zagórskiego. Generał Orlicz-Dreszer, wyzwany przez Zagórskiego na pojedynek, odmawia mu satysfakcji honorowej. Odbywa się natomiast pojedynek Stpiczyńskiego z gen. hr. St. Szeptyckim. Nie pięknie w tej sprawie się pokazał Szeptycki. Korzystając z prawa wyboru broni narzuca Stpiczyńskiemu, ślepemu na jedno oko, pojedynek na szable, który ten musiał jednak przyjąć.

Ale Bóg jest sprawiedliwy choć nie rychliwy. I ja przy tym miałem swoją satysfakcję. Oto za pojedynek, ustawą zakazany, hrabia-generał został ukarany tygodniowym aresztem domowym! Otóż przed 5 laty hrabia osadził mnie na 2 tygodnie aresztu w budynku Komendy Miasta (na pl. Saskim a dziś placu Zwy-

cięstwa) za... za to, że jako prezes Aeroklubu na uroczystym przyjęciu w tymże, przyjąłem generała we fraku a nie w mundurze! Jasne, że wysokość kary miała wyrównać głębokie anse generała do piłsudczyka, który po objęciu ongiś przez c. i k. hrabiego komendy Legionów z rozkazu swych austriackich przełożonych, wystąpił w wojsku z ostrą akcją dymisyjną legionowych jego oficerów, za co wprawdzie z rozkazu tegoż hrabiego zostałem uwięziony, ale przez sąd połowy uniewinniony, czego mi hrabia nigdy nie darował.

Dziwny był ten paradoks pojedynekowy w wojsku. Zabraniała go ustawa — ba, już sobór konstancjański potępił go jako diabelski wynalazek — ale obyczaj wszystko jednak przetrwał i w wielu sytuacjach oficer nie do ustawy ale do kodeksu honorowego Boziewicza musiał się stosować. Ja sam, mimo mojego krytycznego do niego stosunku, miałem dwie „afery honorowe”, z których ostatnia, pojedynek z wojewodą Wiktorem Lamotem, kosztowała mnie nie tylko ranę ale eks-komunikę proboszcza mego garnizonu, w końcu zaś przeniesienie z tego dobrego pomorskiego garnizonu, gdzie dowodziłem pułkiem, na dowództwo pułku w Warszawie. Zdecydowało to także o dalszych moich losach, o których tu mówić nie będę. Może, gdyby nie Boziewicz, potoczyłyby się inaczej.

I to wszystko odbyło się w marcu. Idy marcowe 1926 r. kryły już w sobie decyzje majowe.

Wyrok uniewinniający red. Stpiczyńskiego w sprawie z gen. Wł. Zagórskim dotyczył oskarżenia Zagórskiego w „Głosie Prawdy” o denuncjowanie oficerów legionowych przed władzami austriackimi i niemieckimi.

Artykuł nosił tytuł „Denuncjacja jako system pracy gen. Zagórskiego”. Wyrok zapadł 16 marca 1926 r.



Popularne słowa o najgorszych zwyczajach sztabu generalnego austriackiego pochodzą z wywiadu Marszałka w „Kurierze Porannym” z dn. 11 lutego 1926 r. w którym Marszałek z powodu zmiany na stanowisku Szefa Sztabu po odejściu gen. Stan. Hallera mówi: „Radziłbym dla uzdrowienia stosunków pominąć przy wyborze Szefa Sztabu jakiegokolwiek oficera z dawnej austriackiej służby sztabu generalnego, a to dlatego, że wydaje mi się, iż czas już zerwać z tradycjami w naszym sztabie najgorszej tradycji austriackiego sztabu generalnego”.



Powrót Marszałka Piłsudskiego do armii był dla gabinetu

Aleksandra Skrzyńskiego jedną z najaktualniejszych spraw, bez której nie można było na dłuższą metę rządzić — trudno było też na dłużej ją odsunąć.

Ministrowie z P.P.S. Moraczewski, Ziemięcki stawiali raz po raz na Radzie Ministrów wnioski domagające się powrotu do wojska Marszałka Piłsudskiego.

W lutym min. Moraczewski podaje się do dymisji — tekę po nim obejmuje poseł Barlicki.

Dnia 10 lutego zgłosił swą decyzję ustąpienia z gabinetu minister Spraw Wojskowych gen. Lucjan Żeligowski „o ile ustawa o organizacji naczelných władz wojskowych nie będzie wycofana z Sejmu”.

Ten projekt ustawy wniesiony do Sejmu jeszcze przez gabinet Wład. Grabskiego był uważany jako przeszkoda do powrotu Marszałka Piłsudskiego do wojska gdyż stworzone w nim zależności tak krępowały Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, że stanowisko to nie było dla Marszałka do przyjęcia,

„Na takiego Wodza Naczelnego, — oświadcza Marszałek — nie jestem urodzony i jeszcze raz powtarzam: niech Polska szuka sobie na ten posterunek idioty, osła lub szui”.

albo też innym razem nazywa ustawę „ubieraniem Naczelnego Wodza w szaty błazna”.

Sprawa ustawy o najwyższych władzach wojskowych ciągnęła się około trzech lat — dopiero 4 kwietnia tj. w dniu ustąpienia gab. Skrzyńskiego został wycofany z Sejmu przez min. gen. Żeligowskiego projekt tej ustawy i zastąpiony nowym, przystosowanym do uwag Marszałka.



Rząd Al. Skrzyńskiego stał w obliczu olbrzymich trudności na terenie gospodarczym i finansowym.

Niepokój panujący w masach zwiększał nie tylko spadek zło- tego o kilkanaście procent, ale ciągły wzrost drożyzny zwłaszcza artykułów żywnościowych (np. cena chleba z 40 na 57 groszy i tp.).

Opinia poruszona była głośnymi sprawami skandali i nad- użyć.

„Zrzeszenie Pracy” o którym mowa w pamiętniku zostało skompromitowane przez skargę na nie pokrzywdzonego Belga Oyena.

W tym samym czasie głośne były w przemyśle wojennym skandale przedsiębiorcy Grabskiego, Bartoszewicza, masek gazowych Protekty oraz Frankopolu będącego najczulszym miejscem polityki przemysłowej i lotniczej gen. Zagórskiego, nie mówiąc już o wiązanej w prasie z osobą Min. Skarbu Zdziechowskiego, aferze majątku Strzelce, leśnych i jajczarskich monopolach dygnitarzy Piasta i tp. rzeczach.

Charakterystyczne dla okresu rządów gabinetu Al. Skrzyńskiego rozruchy na tle bezrobocia i nędzy powtarzały się wielokrotnie i przybierały formy coraz ostrzejsze. Szczególnie krwawe były starcia z policją we Włocławku, Łodzi, Kaliszu, Stryju, Lublinie i w Zagłębiu.

Dzień 1 maja również był wyjątkowo krwawy zwłaszcza w Warszawie (26 ofiar) i Wilnie (16).

Wobec trudności finansowych i budżetowych gabinet poszedł po linii redukcji.

Rząd obniżył budżet wojska o 180 milionów. Obniżenie wynagrodzeń urzędniczych (min. Zdziechowski) wynosiło ok. 200 milj. złotych.



Należałoby wytłumaczyć, że jeżeli *Vox Populi* był tak szczególnie wrażliwy na sytuację wewnętrzną kraju, pod względem gospodarczym, finansowym, społecznym, politycznym czy moralnym, to legioniści odczuwali z pewnością bardziej od innych międzynarodową sytuację Polski.

W ciągu niespełna 6 lat od ustalenia się naszych granic, nie tylko były one wciąż zagrożone, ale nasza międzynarodowa sytuacja pogarszała się z roku na rok. Różne się na to składały przyczyny: wyzwalenie się z chaosu sąsiadów, rozrost ich siły i ambicji z jednej strony — zupełne odprężenie powojenne i faktyczne wyczerpanie aliantów. Zarówno narastanie zaufania do Niemiec w krajach anglosaskich, jak briandowski pacyfizm, nie licząc antysowietyzmu politycznego — wszystko to było dobrze wykorzystywane przez Niemcy, które nie tylko nie spłacały długów wojennych ale strząsały z siebie metodycznie wszelkie wersalskie ograniczenia. Mocarstwa zachodnie zaczęły od klepienia po ramieniu Stresemanna — niewielu z nas przewidywało, że skończą na „karmieniu wilka Hitlera”. Zmiana sytuacji doszła nawet do tego, że dopuszczano do dyplomatycznych rozmów na temat, czy Niemcy są czy nie są winowajcami wojny światowej! A może wojnę światową wywołał jugosłowiański student Princip? Wprawdzie istniały jeszcze ograniczenia zbrojeń, ale nie-

miecki układ z Sowietami w Rapallo wyzwalał je spod kontroli aliantów przenosząc zakazane przemysły na ziemię sowiecką! Amerykanie pomagali Niemcom a Niemcy — Sowietom: taka to była idylla dyplomatyczna owych przedmajowych lat. Piłsudski był poza orbitą wszechpartyjnej polityki, gdy sytuacja międzynarodowa dojrzała do układu w Locarno. Ten akt, podpisany 4. IX 1925 r., był aktem i równouprawnienia Niemiec (przyjęcie do Ligi Narodów) i izolacji Polski (przez pozbawienie jej granic wersalskich gwarancji). Briand uważał to za swój triumf, gdyż Niemcy „sami” uznali (tym kosztem) nienaruszalność granic z Francją, ale Stresemann miał więcej powodów do dumy: otworzył drogę odwiecznemu *Drang nach Osten*. Dla Brianda natomiast była to droga do redukcji zbrojeń francuskich — dla nas: rozluźnienie sojuszu z Francją. W Sulejówku Piłsudski chodził między ścianami i kłął coraz szpetniej. Hrabiego Al. Skrzyńskiego, który przewodniczył polskiej delegacji dopuszczonej na finał konferencji, nazwał „suczka lokarneńska”. Uśmiech Brianda bardziej działał na nasz sejm, który ratyfikował układ w marcu 1926 r. — nawet ci z lewicy PPS, jak Feliks Perl czy Z. Żuławski głosowali tak samo za ratyfikacją, jak endecy. „Armia nasza jest najgorzej uzbrojona i licho ubrana”, mówił Piłsudski. „My traciśmy czas na przesilenia a Niemcy — od Locarna — już w kwietniu 1925 r. zrobili drugi po Rapallo krok ku Sowietom, naturalnie zatytułowany paktem „nieagresji”. Paktów agresji nie zawierano. Ale kleszcze się na nas już zaciskały — z piorunującą szybkością. Kwiecień — przesilenie — ma nadejść Witos i zapowiadał, że „będzie gorzej”. Gabinet sadyzmu! Dłużej czekać było nie podobna”.

W tym okresie ujawniony też został spisek Pogotowia Polskich Patriotów. tzw. P. P. P. o charakterze prawicowym, którego nici prowadziły do szeregu wrogich Marszałkowi osobistości politycznych i wojskowych. Członkowie organizacji byli zaprzysięgani w podziemiach Kościoła Wszystkich Świętych w Warszawie. Rozprawa sądowa zbiegła się z przesileniem majowym gabinetu p. Al. Skrzyńskiego.

Główną osobą sprzysiężenia był J. Pękosiłowski — nie brakło w tym gronie i wojskowych, jak płk. Jaźwiński. Proces miał ciekawe momenty: PPP rozpracowało plan taktyczny opanowania Warszawy oraz kontaktowało się z gen. Stan. hr. Szeptyckim, tym właśnie który w styczniu 1919 r. zlikwidował zamach Wężyka i Dymowskiego — tym samym który opracował projekt ustawy o najwyższych władzach wojskowych, użyty jako narzędzie Chienopiasta przeciw Piłsudskiemu. Udział gen. Szeptyckiego w akcji reżymu przeciw nam jest już z mego pamiętnika zna-

ny. Ustalono także, że tajne czynności PPP były znane policji od 2 lat i na nie nie reagowała.



W dopiskach do pierwszego wydania w r. 1936 całkowicie pominęłam naszą sytuację międzynarodową. Zjawiska i wydarzenia naszego życia wewnętrznego nagromadziły wówczas tyle materiału palnego, że wystarczały w zupełności do zrozumienia bodźców majowego przewrotu. Wizja katastrofy jaka zawisła nad życiem politycznym naszego kraju ciążyła nad naszymi umysłami.

Rola jaka w tej wizji przypadła naszej sytuacji międzynarodowej wymaga jednak objaśnienia chociażby dlatego, że się rzuca na sytuację wewnętrzną, a przede wszystkim na stan psychiczny społeczeństwa.

Oczywiście nie podzielam poglądów tych autorów, którzy doszukują się przyczyn przewrotu w warunkach międzynarodowych okresu i chcieliby go wytłumaczyć grą obcych nam sił. Niestety, koniunktura w której tworzona jest w kraju tzw. „najnowsza historia Polski” bardzo temu sprzyja. W obecnych dopiskach poczuwam się do obowiązku poprzednią lukę wypełnić.

Powiązania międzynarodowe państw po I Wojnie Światowej były już tak ścisłe, że nasze polskie „wolność Tomku w swoim domku” było dawno zwietrzałym anachronizmem. Sam traktat wersalski nakładał na państwa tyle obligacji i poddawał je takim kontrolom a wojna światowa pozostawiła we wszystkich krajach, tak zwyciężonych jak i zwycięskich, takie powszechne następstwa, że większe czy mniejsze ich współdziałanie było konieczne, mimo że reakcje na nie częstokroć nie były identyczne. Granice między państwami były przenikliwe, o żadnych żelaznych kurtynach nie mogło być mowy, wzajemnego oddziaływania nie można było uniknąć, a Liga Narodów, dziecko Wersalu stała się czymś w rodzaju dyplomatycznego klubu lub międzynarodowej politycznej giełdy.

Nasza geopolityczna sytuacja zwłaszcza musiała powodować szczególną wrażliwość na zjawiska obserwowane w sąsiedztwie. Ale także wielkie mocarstwa Zachodu przyglądały się nam uważnie. Wszak połączycie Polski przez któregoś z jej większych sąsiadów byłoby zupełnym zaważeniem się wersalskiej struktury świata — to chyba wystarczy by zrozumieć, że ambasadorowie gwarantów wersalskiego pokoju odwiedzali samotnika w Sulejówku — po co te insynuacje „rzekomych historyków” krajowej szkoły? Wprawdzie

obaj nasi wielcy sąsiedzi, na Wschodzie i Zachodzie, wyszli z wojny pokonani i okaleczeni, trzeba było się liczyć z ich odbudową, obserwować jej przebieg i patrzeć uważnie w przyszłość.

Związek Sowiecki po przegranej wojnie z nami i podpisaniu ryskiego pokoju nie był dla nas poważnym zagrożeniem. Z trudem wychodził z dymiących zgliszcz niedawnej wojny domowej. Zawieszał nawet na kołku podstawowe zasady ustroju wzywając obcy kapitał do kraju, gdzie go przecież likwidowano. Mówię o polityce NEP-u, która miała odbudować gospodarkę kraju. I uzyskał uznanie „de jure” państw kapitalistycznych.

Nie przeszkadzało mu to jednak w tych krajach uderzać w ich podstawy a masy robotnicze świata powoływać do obrony interesów „jedynego państwa socjalistycznego”, chociaż było ono dalekie od głoszonego ideału — działało to jednak skutecznie na masy.

W samym zaś państwie sowieckim — od śmierci Lenina w 24 r. — odbywały się krwawe rozgrywki sukcesyjne między Stalinem i Trockim, między poszczególnymi frakcjami partii, skutkiem czego nasza granica wschodnia zagrożenia nie odczuwała. Zresztą mieliśmy sojusz z Francją, który miał dla nas wartość asekuracji z tej strony.

Inaczej było na zachodzie. Wojna spowodowała w Niemczech zmianę ustroju politycznego na republikański oraz wewnętrzny rozkład, z którego wylęła się, jak i w Rosji, wojna domowa, chociaż w innym aspekcie: otwartych starć i podziemnych wybuchów. Oba państwa staczały się gospodarczo — w Niemczech gaże płacono workami marek — tego spadku nie uniknęła zrujnowana Polska o zdemontowanych przez okupanta fabrykach, zdewastowanych miastach, zachwaszczonych ugorach, zniszczonych budynkach, kolejach i drogach. Ale oba sąsiednie kraje, kapitalistyczne Niemcy i komunistyczna Rosja, równolegle uciekały się o sukurs do obcego kapitału: plan Dawesa dla Niemiec a NEP — dla Rosji.

Wprawdzie u nas odbudowa kraju postępowała w tempie znacznie szybszym niż we Francji nawet, gdy ona korzystała z tzw. reparacji niemieckich, a my reformę pieniądza, który się zawałił bez żadnego pokrycia, dokonaliśmy całkowicie o własnych siłach (reformacja Wład. Grabskiego) i uruchomiliśmy zdemontowany przez Niemców przemysł śląski i nie-śląski, ale deficyty budżetowe rosły a widoki na obcy kapitał — w braku własnego — malały. Był on zresztą wybitnie zachłanny a zaciągnięta amerykańska pożyczka Dillona została nam wypłacona za ledwie w połowie. Uratowana przez Grabskiego waluta zachwiała się i

staczała znowu. Uchylenie się od płacenia podatków ze strony klas posiadających, politycznie motywowane jako reakcja przeciw lewicowym rządóm Moraczewskiego, stało się nałogiem, a tymczasem w klasie robotniczej szerzyło się bezrobocie — ze 100 tys. w r. 24 przeszło do ćwierć miliona w r. 25 i 400 tys. w r. 26.

Oderwanie zaborów od metropolii pozbawiło naszą gospodarkę jej dawnych zewnętrznych rynków — przewidując to socjaldemokratka Róża Luksemburg wysunęła z tego doktrynę antyniepodległościową, motywując ją interesem proletariatu, choć w tych zaborczych rynkach najbardziej był zainteresowany kosmopolityczny kapitał Łodzi. Faktem jest jednak, że przestawianie naszej gospodarki na inne rynki wymagało długiego czasu, nie robi się tego z dnia na dzień. Dodajmy, że na Bałtyku mieliśmy jeden port, jedno okno na świat. Wolne miasto Gdańsk, wysunięty bastion niemieckiego szowinizmu. Co tu mówić: byliśmy w geopolitycznych kleszczach. Dla tego wszystkiego, choć do Kryzysu Światowego było jeszcze daleko, chłop łupał zapałki na czworo, bezrobotni głodowali i pragnęli zasiłków. Reformę rolną zapoczątkował swymi dekretemi sam Piłsudski, by poprawić sytuację wsi. Im trudniejsza jest gospodarka tym potrzebniejsze są kompetencje — ze złej gospodarki tylko dobry gospodarz może wyciągnąć. Tych właśnie kompetencji było za mało.

Nadałiśmy sobie najliberalniejszą konstytucję świata. Ale aby władza, która znalazła się w ręku Józefa Piłsudskiego nie zaciążyła nad wrogą mu prawicą, która zawsze zwalczała jego niepodległościową politykę, endecja w Sejmie Ustawodawczym osłabiła władzę wykonawczą do wartości niemal symbolicznej, przerzucając ją na sejm. Ten przerost parlamentaryzmu doprowadził do rozmnożenia się partyjnictwa, efemerycznych rządów, paserskich targów i koncesji przy formowaniu tych rządów i zdobywaniu dla nich większości w sejmie, w końcu katastrofalną zmianę hierarchii ważności spraw państwowych — załatwiano sprawy lokalne i klikowe, odwlekano sprawy zasadnicze i ogólnopaństwowe. Rządy nie miały nawet czasu na wykonanie jakiegokolwiek planu. Jedynym wyjątkiem był rząd dwuletni Wł. Grabskiego, który miał możność dokonać kapitalnej reformy waluty i przywrócić wiarę w jutro. Ale i on ciężko musiał w Sejmie wywalczać potrzebne vota zaufania i Grabski odczuł na sobie, sam będąc konserwatystą, wicherzenia prawicy: w gorące idy marcowe 1926 r. oszkalowano go w prasie za rzekome nadużycia skarbowe w czasie swego premierostwa! Spotkało się to z odprawą publiczną najwybitniejszych Polaków tego czasu. Protest przeciw oszczercom podpisali Antoni Anusz, Kaz. Rudnicki, Wacław Makowski,

Leon Supiński, Tadeusz Tomaszewski, Emil Młynarski, H. Konic i wielu innych.

Układ sił politycznych w I Sejmie tak wyglądał w % mandatów:

prawica — 28 %
centrum — 29,9%
lewica — 22%
mniejszości narod. — 20%

O rządach lewicy mowy być nie mogło. Centrum było za słabe by rządzić samodzielnie ale było uprzywilejowane — bez jego udziału rządy były niemożliwe: albo Centrolew tj. 52% gł., albo Centropraw 57,1% gł. Uwaga Piłsudskiego, że spośród 600 posłów i senatorów zaledwie 20 było w ogóle w wojsku jest bardzo dla składu tzw. suwerenów charakterystyczna: 1) nikt się na sprawach obrony kraju nie znał a każdy o niej decydował i 2) dla olbrzymiej większości „ni z tego ni z owego przyszła Polska od pierwszego”.

Polityka układała się po linii Centroprawu — do niego należał najtragiczniejszy w Polsce rząd Chienopiasta pod premiershipem W. Witos. Realizacja tej koncepcji, zwanej „paktem lanckorońskim”, stała się możliwa dopiero po opuszczeniu Belwederu przez Piłsudskiego, tj. w okresie najnowszej historii Polski, który będą nazywał Sulejowskim.

Chienopiast utrzymuje się przy władzy zaledwie od 15 maja 1923 r. do listopada 1923 r. Tak się fatalnie zaznaczył samowolą i represją, że doprowadził do krwawych krakowskich „wydarzeń”, podczas których c. i k. generał Czikiel stoczył na ulicach Krakowa bitwę z robotnikami, którą przegrał: robotnicy biorą nawet jeńców. Nie wiadomo jakby się to skończyło gdyby PPS zechciała wyjść poza ramy demonstracji. Większość sejmowa Centroprawu rozpadła się. Pamięć Chienopiasta odezwała się w maju 1926, gdy Wincenty Witos formował swój ostatni rząd. Dla szerokiego mas Witos roku 1926 to już nie był Witos roku 1920, premier rządu „ocalenia publicznego”, to był Witos 1923 smutnej pamięci Chienopiasta, afer Banku Ludowego, obciążony skandalem Dojlid zakupionych tanio od hr. Ronikiera na chłopską parcelację a sprzedanych drogo księciu Lubomirskiemu. Ale i Witos r. 1918, kiedy to odmówił współdziałaniu z socjalistami w Rządzie Ludowym w Lublinie, pierwszym rządzie niepodległej Polski, reprezentował w moich oczach, ruch ludowy zezujący do dworskiej klamki.

Ale reprezentował niewątpliwie największą partię w Polsce

— jednakże największa warstwa polska — włościanstwo — była politycznie rozczłonkowana. Chłopi oddawali swe głosy nie tylko na skłócone odłamy polityków ludowych, ale na partie wręcz ziemiańskie lub burżuazyjne. Bardzo mi trafia do przekonania uwaga Wojtka Stpicyńskiego w owym czasie, że lud przejął pańskie wady, że na wsi zakorzenił się poszlachecki snobizm, że dwór chłopu imponuje mimo, że „chłop potęgą jest i basta”. Ale jest i służba folwarczna i zapalka łupana na czworo... A był to czas gdy chłopci mogli rządzić w Polsce. Ale na to trzeba było takiego polityka, który by potrafił scalić ruch ludowy na przekór siłom, które wieś rozczłonkowywały. Ale Witos, tak jak go znałem, miał kompleks niższości wbrew opinii opartej na jego megalomanii: dlatego nie był wodzem lecz wysiłał się na „kombinacje”, z którymi się oswoił w austriackiej szkole parlamentaryzmu.

Parlamentaryzm przechodził zresztą kryzys na całym świecie. Do tego się przyczynił rozkład powojenny i wojenny autorytet siły nad prawem i trudności, których parlamenty rozwiązać nie umiały i kompromitacje wyborów z licytacją hasel i obietnic. Prawica, która sobie wiele obiecywała po odejściu Piłsudskiego a skompromitowała się Chienopiastem, szukała dróg do faszyzmu. Trzej konspiratorzy z P. P. P. pod kierunkiem J. Pękosińskiego, gen. Wroczyńskiego i Jaźwińskiego i inni, już w 23 r. składali przysięgi u OO. Kapucynów — policja i kontrwywiad M. S. W. życzliwie na to przymykali oko, a leader antypiłsudczyzny w wojsku, gen Szeptycki, chętnie z nimi konferował.

Kryzys parlamentaryzmu w Polsce pogłębiały afery. Afery nie tylko spekulantów ale i ministrów: Żyrardowski proces min. Kucharskiego o stratę ponad 2 milionów złotych przy odstąpieniu Żyrardowa Francuzom, sprawy o zwalnianie za łapówki poborowych, zaliczki na fikcyjne zamówienia itd. itd. — za dużo szachrajstw dla młodego państwa. Powstała psychoza skandali. Wolna prasa rozgłaszała je szeroko. Plotka je mnożyła. Szukała winnych na najwyższych szczeblach. Czuło się, że do władzy doszli ci co nic dla Polski nie poświęcili, co w nią nigdy nie wierzyli, którym ona nigdy nie była potrzebna. Solą w ich oku był Józef Piłsudski.

Józef Piłsudski pozostawił po sobie opinię człowieka opryskliwego i brutalnego w słowie. Powtarzano anegdotę, że gdy nie mógł się doczekać szybkiego połączenia telefonicznego przez centralę klął „do d... z taką centralą” i wówczas standardystka miała odpowiadać „w tej chwili panie Marszałku”.

Mam chyba pewne doświadczenia współpracy z Marszałkiem, jako jego były adiutant i bardzo proszę to „między bajki włożyć”.

Mało spotykałem ludzi tak subtelnych i delikatnych — zapewne czas długiego współżycia z ludźmi małej miary oraz narastanie kłopotów przy zanikaniu sił człowieka swe ślady musi pozostawić. Kręcąc się wkoło twarzy natrętną osę nieraz sami brutalnie odpędzamy. Nie znosił organicznie obłudy, kręctwa, obwijania w bawełnę, pustosłowia, biurokracji. Był wówczas bezwzględny. Ale Józef Piłsudski cenił każde zdanie i z każdym chętnie rozmawiał (kto przeszedł przez sito kolegów adiutantów). Najczęściej rozmawiał z sobą samym przemierzając krokami swój własny gabinet. Największą przeszkodą dla prawicy był nie „aparat Belwederu”, ale popularność samotnika z Sulejówka.

Popularność Piłsudskiego wzrastała w stosunku wprost proporcjonalnym do niechęci do niego sejmowych suwerenów i rządowych władz. On to doskonale rozumiał i celowo w swych wywiadach używał jaskrawych dla nich określeń. Niepopularność owych władz wzrosła szczególnie w związku z ujawnieniem zarządzanej przez szefa Sztabu Generalnego gen. Stan. Hallera inwigilacji Marszałka w Sulejówku, wkrótce po wyjściu z Belwederu w r. 1923. Inwigilację tę powierzył szef kontrwywiadu kpt. Stan. Lis-Błońskiemu, mojemu dawnemu podkomendnemu z czasu P. O. W. za okupacji austriackiej w 1918 r. Lis-Błoński ten rozkaz ujawnił a oskarżony o oszczerstwo przed Sądem Wojskowym sprawę wygrał i Sztab Generalny skompromitował. Odtąd Sulejówek znalazł się pod opieką Związku Strzeleckiego i legionistów. Pogłębiły się w wojsku wrogie nastroje, zarysowywały się wrogie obozy.

Muszę z tego względu przejść na chwilę z terenu parlamentarnego na teren wojskowy. Generał Stan. Haller należał do oficerów z byłej armii austriackiej, którzy w armii polskiej byli bodaj najliczniejsi i mieli najwyższe stopnie służbowe. Przyszli do armii polskiej już z wysokimi stopniami co tłumaczy się tym, że c. i k. Kriegsministerium nie stosowało względem Polaków w Galicji żadnej dyskryminacji, wówczas gdy Polak w armii rosyjskiej z trudem awansował, był pilnowany a do sztabu trzeba było zmieniać wyznanie i... skórę. B. oficerowie austriaccy popierali się wzajemnie i mieli przewagę nad oficerami innego pochodzenia. Legioniści po dawnemu nazywali „Austriaków” trepami, a b. carskich oficerów — „katolikami”, gdyż za rosyjskich czasów przeważnie podawali wyznanie, nie chcąc „razić” swą narodowością. Oprócz legionistów były jeszcze „Korpusy Wschodnie”, a przede wszystkim dowborczycy oraz dosłownie kilku oficerów z armii niemieckiej — doszli do tego hallerczycy z armii francuskiej. Wśród tych było wielu b. legionistów, którzy przeszli w Rarańczy na front aliancki w początku 1918 r., bili się

z Niemcami pod Kaniowem i przez Murmańsk i Morze Białe dotarli do Francji. Ja reprezentowałem obie grupy: byłem legionistą a poza tym we Francji dowodziłem szkolną eskadrą lotniczą.

Pomiędzy tymi grupami oficerów różnice z trudem się zacieły — nawet wspólnota w wojnie z Sowietami tych różnic całkowicie nie zatarła. W „Uczcie zwycięstwa” Andrzeja Struga postać generała „Puzo” z b. armii carskiej, który gdzieś na Kresach (po zwycięstwie nad bolszewikami) przewodniczy na oficerskim obiedzie połowym i na toast „niech żyje Polska”, wzniesiony przez jednego z młodych oficerów, podnosi kielich wołając „nu, niech żyje ona!”, nie jest przez Struga całkowicie zmyślona: Puzo — to typ starszego zawodowego carskiego oficera w polskiej służbie. Wojna polska, w której nawet bił się dobrze, była dla niego wojną domową, jak kampania Denikina lub Kołczaka. O austriackich oficerach można by niejedną anegdotę z owych czasów powtórzyć. Chciałby tego generała, który na garnizonowym bankiecie na 3 maja, przemawiając z urzędu, powiedział o rozbiorach, że „wówczas Polska była podzielona na 3 nierówne połowy: jedną zabrali Moskale, drugą Niemcy, a trzecią — my”. Natomiast stosunek ich do legionistów nie miał podkładu ideowego lecz był po prostu zawistny. „Legionery — mawiał generał komendant szkoły w Grudziądzu — to jak u nas dawniej general-sztablery, zawsze mają pierwszeństwo”. Szukając dla siebie jakichś atutów manewrowali argumentem fachowości — oni mieli za sobą różne c. i k. szkoły wojskowe, długi staż koszarowy i znajomość odwiecznej administracyjnej praktyki austriackiej, garnizonowych nałogów i kulis. Legioniści nie mogli im w tym dorównać, mieli, jak to się mówi, „domowe” wykształcenie, którego braków czteroletnia wojna nie mogła przecież wyrównać. Od czasów powiedzenia Wielkiego Księcia Konstantego, że wojna psuje wojsko, nie jeden „austriak” i nie jeden „katoлик” podzielał to zdanie. Ten argument „fachowości” odegrał wybitną rolę w polityce — wysłużył się setnie reakcyjnym elementom polskim w grze przeciwko Piłsudskiemu i służył do ich powiązania z oficerami zaborczych armii w tej grze, którą prowadzili w czasie I wojny światowej i po niej ją kontynuowali. Legioniści znajdowali się w nienajlepszej kondycji w armii. Najczęściej mieli przełożonych z grup sobie niechętnych. Zmuszeni byli do opierania się wzajemnie na sobie, docierania do Belwederu w razie jakichś zbyt wielkich trudności w służbowych stosunkach. Ufności tak potrzebnej do scalenia armii nie było — wśród „zaborczych oficerów” rzekomych piłsudczyków, roiło się od fałszywych karierowiczów. Byłem czas jakiś adiutantem Naczelnego

Wodza w Belwederze i te moje spostrzeżenia już wówczas mnie trapiły. Pozostało mi przekonanie, że łatwiej było spotkać szczerego piłsudczyka między dawnymi oficerami rosyjskimi, którzy pochodzili z Królestwa lub Kresów, przeszli rewolucję rosyjską, uchwalali na zjeździe Naczpołu w 1917 r. honorowe przewodnictwo Piłsudskiego, przeżyli Kaniów i poznali legionistów w boju, niż wśród Austriaków, którzy w czasie wojny korzystali z przywilejów wobec legionistów i często nimi poniewierali, a teraz musieli uznać nad sobą „ich” marszałka Piłsudskiego. Legioniści nie mogli przełamać niechęci do tak zwanych „trepów”, w których dzielność zawsze wątpili a ich biurokracji nie znosili. Nie zapomnę nigdy ppor. Nałęcz-Korzeniowskiego, szefa kancelarii Komendanta Piłsudskiego, który na długich rozkazach i instrukcjach z dowództwa c. k. armii zwykł w lewym narożniku pisać zamasyście „d. d.” Miało to zastąpić w armii stosowane „a. a.” (ad acta) — ale Nałęcz tym swoim skrótem oznaczał „do d...” Bardzo to typowe było dla naszego stosunku do bezdusznego formalizmu armii „Jego Cesarskiej i Apostolskiej Mości”.

Ale tymczasem sprawa scalenia armii była sprawą pierwszej ważności. Od chwili wycofania się Piłsudskiego z Belwederu do Sulejówka proces scalenia cofnął się ogromnie. Powiedziałbym, że nawet ta ideowa, podstawowa część armii, jaką byli legioniści, zaczęła się wykruszać. Starano się ją rozbijać, rozpraszać w przestrzeni, uniemożliwiać wszelkie jej skupienia, obezwładniać, zarażać trądem karierowiczostwa, przerabiać na bezduszne manekiny — na stupajki.

Ta niejednorodność składu oficerskiego armii trójzaborowego pochodzenia, z dołączeniem „bez zaborowych” legionowych drożdży, armii której na samym progu życia przypadły zadania wojenne ponad siły, była zjawiskiem głęboko niepokojącym. Dlatego wśród problemów, które rozwiązać musiała Polska na progu swej porozbiorowej niepodległości, problem armii tym bardziej był ważny, że ogólny stan powersalskiego zamętu w naszym geopolitycznym położeniu był szczególnie groźny. Stał się też treścią dramatu Józefa Piłsudskiego.

Dlatego też osoba Piłsudskiego stawała się dla ogółu polskiego czymś więcej niż wysokim stopniem w hierarchii państwowej. Piłsudski stał się jakby linią demarkacyjną i hasłem jednocześnie. Już powoli przestawano wytykać sobie Dojlidy czy Frankopole, spierać się o reformę rolną lub o ustawę o władzach wojskowych — było się po prostu za lub przeciw Piłsudskiemu. Zagrały struny emocjonalne.

Grupa austriackich generałów w wojsku wraz w politykami dawnej ND z jej nowymi przybudówkami odrzucała coraz wyraź-

niej maskę i mobilizowała się przeciw niemu. Z wyjątkiem nielicznych pism lewicowych, jak *Robotnik* i *Kurier Poranny*, prasa znalazła się pod ich wpływem. Popularność Piłsudskiego przez to jednak nie malała. W przededniu imienin Marszałka dn. 18 marca 1926 r. tłum owacjonuje go na pl. Teatralnym, a w samym dniu imienin — 19 marca — w jego willi w Sulejówku jest tłok nie do opisania, większy niż w listopadzie, mimo że za wizytę sulejowską szef sztabu gen. St. Haller ukarał wielu oficerów pod pretekstem „samowolnego opuszczenia oddziałów”, a gen. Orlicz-Dreszer został z Warszawy przeniesiony do Poznania, zaś ppłk. Abrahamowi wytoczono sprawę o tajną agitację w wojsku (!) — wielu legionistów zwolniono ze służby czynnej. Napięcie rosło. Na imieninach w Sulejówku można było spotkać niejednego ex-rosyjskiego generała, jak Daniel Konarzewski z dawnej gwardii rosyjskiej zwolniony z dowództwa O. K. Warszawa, jak Skierski, Żeligowski, Römmel, a nawet austriackich, jak Kessler i — Malczewski. Ta różnorodność przeczy plotkom o zbieraniu się u Marszałka spiskowców. Marszałek działał własną osobą. Szereg szybko następujących po sobie odczytów i wywiadów wynikał z jego samotnego, osobistego sposobu bezpośredniego działania, przez osobisty kontakt z opinią publiczną. Mimo publicznego skandalu jaki spowodował proces kpt. Lis-Błońskiego wyznaczonego do inwigilacji Piłsudskiego przez majora Pieczonkę z sztabowej dwójki gen. St. Hallera (marzec r. 24), płk. Michał Bajer nie przestawał inwigilować Marszałka. Potem wśród „rządowców” odegrał on ważną rolę.

W tej atmosferze konfliktowej z austriackimi oficerami nastąpił wybuch kiedy Marszałek w listopadzie ostrzegwał Prezydenta przed oddaniem teki wojska „oficerom o najgorszych tradycjach sztabu austriackiego”: w wojsku zawrzało. Na próżno generał Żeligowski tłumaczył, że to wcale nie znaczy, że każdy oficer c. i k. służby tym tradycjom hołduje — rozpoczęto akcję listów, zaczynając od gen. Kulińskiego, dowódcy O.K.Kraków, z żądaniem satysfakcji za obrazę od Marszałka, który im gremialnie satysfakcji odmówił.

W ślad za tym wstępuje w szranki przywódca poznańskiej reakcji Wojciech Trąmpczyński, marszałek Senatu, w obronie czci armii przez Piłsudskiego poniewieranej. Jak zwykle Trąmpczyński aż się zaślniał w swej nienawiści do Piłsudskiego. Z tym wystąpieniem czekał jednak Trąmpczyński aż do chwili długiego przesilenia gabinetowego w kwietniu i nie było więc odruchem „przeciw Galicjakom z Kongresowej”, jak się w żargonie poznańskim mawiało. Naturalnie Stpiczyński ciął go z miejsca na odlew: w „Głosie Prawdy” przedrukował fragmenty panegirycz-

nej mowy Trąpczyńskiego z r. 1920, kiedy to cny marszałek prawicy wynosił na szczyty ojczyściej historii Józefa Piłsudskiego za triumfy „większe od Kircholmu”.

Aby nie było nieporozumień podaję, że marszałek senatu Wojciech Trąpczyński nie jeden raz ale dwa razy wystąpił prowokacyjnie. Pierwsze było w marcu (nie kwietniu) w związku z akcją „austriacką” gen. Kulińskiego a drugi raz przed samym przewrotem majowym, dn. 5 maja.



Sejm nie posiadał stałej większości i było to źródłem bezsilności każdego rządu, który zeń wychodził.

W akcji za rozwiązaniem Sejmu pozbawionego większości i nie dającego podstaw trwałości rządów specjalnie się wyróżniali K. Świtalski, M. Zyndram-Kościałkowski i B. Miedziński — ci dwaj ostatni jako posłowie do Sejmu. Z akcją tą solidaryzowała się wyraźnie grupa poselska „Wyzwolenia”. W tym duchu pisał też K. Świtalski w „Głosie Prawdy” o posłach szachując samą istotę ustroju:

„muszą ten sejm własnymi rękami rozwiązać, jeżeli chcą
chcą ustroju parlamentarnego naprawdę bronić”!

Dnia 22 kwietnia otworzyło się przesilenie gabinetowe grożące z powodu struktury politycznej Sejmu przewlekłym kryzysem. Ministrowie z P. P. S. po odrzuceniu przez rząd projektu Centrali Dewiz wyszli. Kilka dni potem, 25 kwietnia, zawarty został układ Niemiec z Sowietami.

Przesilenie zostało zażegnane do dn. 5 maja 1926 r.

W dniu tym Wojciech Trąpczyński, Marszałek Senatu, na Wojskowej Komisji wygłosił przemówienie przeciwko Marszałkowi Piłsudskiemu z szeregiem gwałtownych i obrażających zwrotów (m. in. „W innych krajach jedno z Jego sławnych powiedzeń wystarczyłoby aby Go pozbawić munduru wojskowego”).

Po przemówieniu marszałka Trąpczyńskiego, gen. Śmigły-Rydz, inspektor armii w Wilnie, złożył 10 maja na ręce Prezydenta Rzeczypospolitej służbową prośbę o „obronę wojska i jego moralnych wartości”.

Kryzys trwał do dnia 11 maja.

Wysuwane koncepcje nowego gabinetu Skrzyńskiego lub Witosa upadły.

Dnia 8 maja ustaliło się przekonanie, że stworzenie rządu parlamentarnego jest niemożliwe i powierzono misję tworzenia rządu urzędniczego Wład. Grabskiemu.

Dnia 9 maja odbyła się w Belwederze konferencja Prez. Woj-

ciechowskiego z Marszałkiem Piłsudskim i Wł. Grabskim. Marszałek Piłsudski ostro skrytykował skutki gospodarki w armii poprzedniego gabinetu Wład. Grabskiego i to swoje stanowisko podał do wiadomości w prasie.

Wład. Grabski w trakcie konferencji opuścił Belweder i zrzekł się misji tworzenia rządu.

Nazajutrz dnia 10 maja Prezydent Wojciechowski mianuje gabinet Witoso o charakterze prawicowo-piastowym.

Mówiono w Warszawie, że gabinet powstał w nocy z 9 na 10 maja w restauracji „Pod Bachusem” przy ulicy Widok.

Skład gabinetu Witoso różnił się od poprzedniego odejściem ministrów z PPS, objęciem teki MSZ po Al. Skrzyńskim przez p. Kajetana Morawskiego; MSWojsk. przez gen. dyw. Malczewskiego b. dowódcę korpusu i Min. Spr. Wewn. przez p. Smólskiego z Chrześc. Demokracji.



Ogłoszony w „Kurierze Porannym” w dn. 11 maja wywiad z Marszałkiem Piłsudskim zawierał ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem demoralizacji wojska przez Witoso.

„Pan Wincenty Witos znany jest w historii państwa naszego głównie z bezceremonialnego stosunku do wszystkich funkcji państwowych — System demoralizacji wojska, które nie mając praw wyborczych ma jednego przedstawiciela swych interesów w osobie ministra (spraw wojskowych), przy odpowiednim doborze tego ministra zaczął święcić swoje triumfy nie przy kim innym jak przy panu Wincentym Witosie...”

Marszałek stwierdza, że nie tylko teka wojska jest obsadzona bez porozumienia z nim ale nigdy by się nie zgodził na osobę kandydata (gen. Malczewskiego).

Wywiad kończy Marszałek historycznym oświadczeniem:

Staję do walki, tak jak i poprzednio, z głównym złem państwa: panowaniem rozwydrzonych partyj i stronnictw nad Polską, zapomnianiem o imponderabiliach, a pamiętaniem tylko o groszu i korzyści”.

Z rozporządzenia Witoso „Kurier Poranny” został skonfiskowany. Przedstawicielom prasy Witos oświadczył, że gotów jest przyjąć do współpracy „tych, którzy będą zdolni przewyciężyć małostkowość”.

Witos jeszcze dn. 9 maja w „Nowym Kurierze Polskim” ogłosił wywiad, w którym wzywa Marszałka tymi słowy:

„Niechże Marszałek Piłsudski wyjdzie z ukrycia niech stwo-
rzy rząd...

Jeżeli tego nie zrobi będzie się musiało mieć wrażenie, że nie zależy mu na uporządkowaniu stosunków w państwie”.

Ponieważ szeroko były znane wypowiedziane nie tak dawno przedtem słowa Witosy, że „Piłsudski już wygrał swoją rolę, zrobił co miał zrobić i już jest nam niepotrzebny” wezwanie wywiadu robiło wrażenie prowokacji.

Korfanty wręcz zapowiada, że „Pan Piłsudski będzie odpowiadał przed sądem”.



Dla uzupełnienia obrazu wypadków w dniu 12 maja podaję kilka znanych mi obecnie szczegółów.



Wielu historykom zrozumienie wypadków majowych utrudnia fakt, że nie mogli dotąd wykryć spisku, wielkiej konspiracji i organizacji zamachowców. Długo będą ich szukać i nie rokuje im żadnego powodzenia. Cały przebieg wydarzeń tak niezbieżnie zdradza improwizację, że szkoda po prostu argumentowania. Jedynie niezwykle skromna koncentracja w rejonie Sulejówka i błyskawiczny marsz płk. Krok-Paszkowskiego z Siedlec, świadczą o jakimś porozumieniu, ale porozumieniu niemal z ostatniej chwili — dalszy rozwój akcji był zaszczębnieniem się poszczególnych inicjatyw, koordynowanych w granicach możliwości — ze wszystkich znanych taktycznych form walki zbliża się chyba najbardziej do tzw. boju spotkaniowego.

Pewni autorzy za początek akcji przyjmują datę odwiedzin marszałka 12 listopada 1925 r., inni — wizytę w dniu imienin 19 marca 1926 r. — osobiście sędzę, że data ratyfikacji układu w Locarno mogła być ostatnią kroplą cierpliwości J. Piłsudskiego. Żywe kontakty „rozstawionych po kątach” oficerów piłsudczyków zastąpiły sieć organizacyjną.

Jak dalece przejawiała się samorzutność działań przewrotowych może najjaskrawiej wykazać sytuacja w Cytadeli, gdzie stały obok siebie dwa pułki piechoty i sztab 28 Dyw. Piechoty. Ponieważ na odprawie południowej w Komendzie Miasta u gen. Suszyńskiego, zachowanie się gen. Piskora, d-cy tej dywizji i znanego w kampanii legionowej 1914-1918 sztabowca piłsudczyka, wydało się podejrzane, gen. Piskor został internowany we

własnym mieszkaniu i pozostał w nim do końca działań, jego zaś sztab pozostał bez głowy. „Zgrupowanie Cytadela” przeszło pod komendę najstarszego dowódcy pułku płk. Izydora Modelskiego, legionisty wprawdzie ale należącego zawsze do najzarliwszych „pro-austriackich” antypiłsudczyków, których było niemało. Oczywiście zarówno gen. Rozwadowski, d-ca wojsk rządowych jak, wywołany z Krakowa w charakterze szefa Sztabu gen. Stan. Haller stawiali więc na Cytadelę jak na Zawiszę. Taktycznie świetnie bronić mogła Wisły i flankować marsz przewrótowców. Tymczasem oba pułki paraliżowały się wzajemnie a nadto „swawolny Izydorek” sam „wpadł w worek”: poza kilkoma przepisowymi lizusami nikogo nie miał za sobą.

Co zaś było jeszcze ciekawsze to to, że sztab 28 D. P. pozbawiony był i głowy i orientacji, bo przecież spisku nie było! O dalszym więc biegu zadecydowała „inicjatywa prywatna”, jak się to dziś w krajowym żargonie nazywa. W sztabie dywizji oficerowie reżymu zajmowali swoje pokoje służbowe a piłsudczyk por. Stefan Jellenta w samym gabinecie dowódcy zajęty był — po uszy — łącznością telefoniczną na obie strony z tym, że polecenia reżymowe porządnie układał w teczkach dając do wykonania tylko przewrotowe. Inni oficerowie piłsudscy objęli służbę kontroli przy bramach Cytadeli, dla jej bezpieczeństwa. I tak było do chwili gdy sam płk. Modelski został przez oficerów aresztowany.

Nie dziw, że gen. St. Haller na wstępie swych czynności — a przyleciał z Krakowa — gdy z samolotu już widział bitwę o mosty — uznał za nieodzowne rozeznanie wrogów i przyjaciół: kto z kim, — przeciw komu — gdzie — i dlaczego...

Nie łatwo mu poszło. Nieraz całe oddziały z tych najpewniejszych odchodziły do nieprzyjaciela. I znowu muszę sprostować dość powszechne kłamstwo, że przewrót był *sui generis* rozgrywką dowódców, starszych oficerów, wreszcie oficerów. Przykładowo, 15 p.p. był uznany ze względu na jego reżymowy skład oficerski za „pewny” przez rządowców. I tu się okazało, że pierwszy głos mieli właśnie podoficerowie pułku, którzy odmówili udziału przeciw Piłsudskiemu i pułk został sparaliżowany. Był więc przewrót niejako wojskowym plebiscytem, rachunkiem sumienia.

Tak było wszędzie — nawet u gen. Sikorskiego we Lwowie, gdzie aresztowano płk. Zulaufa czwartaka Leg. Pił., a kierując do Warszawy 26 p. p. Sikorski meldował, że jego oficerowie przy raporcie prosili o nie wysyłanie ich przeciw Piłsudskiemu!



Jak wiadomo z karteek pamiętnika 22 p. p. przybył z Siedlec na stację w Rembertowie dn. 12 maja koło godz. 14. Nie czekając na przybycie siedleckiego pułku kolumna rembertowska wyruszyła do Warszawy. Stanowił ją 7 p. ułanów z Mińska Mazowieckiego i rembertowski batalion manewrowy — dowodził tym batalionem mjr. Aleksander Rutkowski, świeżo awansowany na majora dowódca 2 kompanii tego batalionu. Alarmem zarządził zbiórkę, przemówił do żołnierzy, opanował batalion, wydał ostrą amunicję. Próby udaremnienia tego właściwemu dowódcy baonu, ppłk. Paterowi, przybyłemu na miejsce zbiórki nie udały się — baon odmówił mu posłuszeństwa. Kolumna odmaszerowała bez artylerii — dywizjon manewrowy artylerii z Rembertowa, nie zorientowany na czas, maszerował z podchorążówką płk. Paszkiewicza, która z gen. Prichem i oficerami strony rządowej, szła po tropie oddziałów Marszałka do Warszawy.

Na szosie Grochowskiej Marszałek przyjął defiladę batalionu z potrójnym salutem szabli.

Na Pradze oddziały zostały rozdzielone: ułani ruszyli na most Poniatowskiego zajęty i zabarykowany przez szwoleżerów, piechota mjr. Rutkowskiego na most Kierbedzia pod rozkazy płk. Sawickiego, dowódcy 36 p. p. L. A. który oba mosty, Kierbedzia i kolejowy, trzymał swymi oddziałami. Marszałek w aucie jechał z ułanami na most Poniatowskiego.

Po słynnej rozmowie na moście z Prezydentem Rzeczypospolitej następuje przesunięcie: 7 p. ułanów poszedł przez Targową na most Kierbedzia — Marszałek autem udał się do 36 p. p. L. A. i na moście Kierbedzia rozmawiał z mjr. Korkozowiczem.

W tym mniej więcej czasie na Aleję Zieleniecką przychodzi z Garwolina 1 p. strz. konnych. Skutkiem niedyspozycji płk. Kuleszy, dowódcy tego pułku, dowództwo nad nim obejmuje ppłk. Kmicic Skrzyński ze sztabu gen. Dreszera i rusza również na most Kierbedzia. Wkrótce nadchodzi tam i artyleryjski dywizjon manewrowy, który, z majorem Karasiewiczem, odłącza się od kolumny płk. Paszkiewicza, zorientowawszy się na stronę Marszałka.

Kolumna siedlecka — dwa bataliony 22 p.p. z orkiestrą dociąga po 18-ej do kościoła Św. Floriana. Tłumy na Pradze wszędzie witają owacyjnie wojska. Ktoś próbował przed kościołem mówić do tłumu z ciężarówki — ściągnięto go z wozu. Taksówką nadjechał gen. Dreszer. Zdaje się, przeprowił się krypą przez rzekę z warszawskiego brzegu. Artyleria manewrowa zajęła stanowiska.

W chwili, gdy 36 p.p. zajął już most Kierbedzia i dwoma kompaniami znalazł się na warszawskim brzegu Wisły podsuwając się Nowym Zjazdem pod Zamek, na plac Zamkowy wkroczył oddział piechoty. Stał w szyku zwartym z bronią u nogi, frontem do mostu. Była to kompania szkolna 30 p. strz. kan. z Cytadeli z plutonem karabinów maszynowych. Dowodził nią kpt. Alojzy Szyc, karabinami maszynowymi por. Burtan. Karabiny zajęły stanowiska: jeden w nieistniejącym już dziś ogrodzeniu kolumny Zygmunta, drugi u wylotu Krakowskiego Przedmieścia od Miodowej. Nadciągnął działon art. konnej por. Olchowicza z 1 d. a. k. Działo odprzodkowane stanęło również przy kolumnie.

Rozpoczęły się pertraktacje: kpt. Szyc żądał oddania mu mostu, który miał rozkaz zająć — 36 p. p. żądał ustąpienia z placu.

Pertraktacje przewlekały się. Nie pomagały ani powoływania się na otrzymane rozkazy, ani groźby, ani perwazje — strony nie ustępowały. Bezkutecznie pertraktowali z sobą mjr. Kłobukowski (30 p. s. k.) i mjr. Korcozowicz (36 p. L. A.).

Kapitan Szyc ze starej restauracji Węglińskiego telefonicznie melduje co się dzieje dowódcy pułku w Cytadeli, płk. Izydorowi Modelskiemu, i prosi o zarządzenia. Dostaje rozkaz bezwzględnie zająć most — w razie oporu wywalczyć.

Wykonując to ściśle, wobec stanowczej odmowy ze strony 36 p. p., kpt. Szyc zapowiada ogień, daje komendę i sygnał trąbką „strzelać”.

Dowódca czołowego plutonu 30 pułku przeszkodził w wykonaniu komendy. Odesłano go natychmiast do tyłu, jednak kompania 36 p. p. zdążyła jeszcze zbiec z jezdni. Padły pierwsze strzały — karabiny maszynowe otworzyły ogień, strzelało także działo. W jednej chwili Nowy Zjazd opróżnił się. Do ataku na most ruszył samochód pancerny. Gdy zatrzymał się skutkiem defektu silnika dowódca sam. panc. rtm. Szymański pada ranny od kuli.

Major Kłobukowski dowódca baonu 30 p. s. k. próbuje nawiązać ponownie rokowania, lecz pada ranny — pada również por. Olchowicz. Oddziały Marszałka nacierają od mostu i posuwają się w ogniu do placu.

W łoskocie ognia przechodzą nowe oddziały przez most. O losie walki decyduje zagrożenie skrzydła obrońców placu od strony Krakowskiego Przedmieścia, na które bocznymi ulicami, niezabezpieczonymi, wchodzi oddziały Marszałka. Na Krakowskim tłum. Wznoszą się okrzyki „Niech żyje Marszałek Piłsudski!”

Kom. 30 p. strz. kan. wycofuje się Miodową i Senatorską do

placu Teatralnego, Daniłowiczowską i Długą na Nalewki. Plac Zamkowy zajął 36 p.p.¹



W walce o plac Zamkowy brał czynny udział i redbertowski batalion. Gdy padły pierwsze strzały dostał on rozkaz opanować Zamek, by flankować nieprzyjaciela. Jedna kompania batalionu pod dowództwem mjr. Rutkowskiego dostała się z brzegu Wisły na podwórzec zamkowy, opanowała schody i z pierwszego piętra otworzyła ogień na stanowiska baterii daku u wylotu Podwala za kolumną Zygmunta i ostrzeliwała manewrujący samochód pancerny rtm. Szymańskiego. Ogień flankujący tej kompanii odcinał też drogę odwrotu nieprzyjacielowi na Cytadłę przez Stare Miasto, a gdy oddział 30 p. s k. cofnął się ku Miodowej, dwie kompanie baonu manewrowego z głównej bramy zamkowej ruszyły na Krakowskie Przedmieście zapchane niezliczonym tłumem. Z pod pałacu Namiestnikowego cofa się osłona Rady Ministrów — oddział szkoły oficerskiej.

Batalion doszedł bez oporu pod Komendę Miasta, gdzie pełniąca wartość kompania kpt. Masternaka z warszawskiego 21 p. p. wystawiła karabiny maszynowe zamierzając widocznie się bronić. Do walki jednak nie doszło, gdyż batalion redbertowski był wezwany z powrotem do Zamku, a wkrótce potem i kompania kpt. Masternaka wycofała się z Komendy Miasta w kierunku Al. Ujazdowskiej.

Jeden z plutonów tej kompanii osłaniał Sztab Generalny. Ten właśnie pluton znalazł się wraz z sztabem rządowym na skrzyżowaniu Nowego Świata i Al. Jerozolimskiej i dostał zadanie ob-

1. Dodam, że mjr. Korcozowicz, b. dea baonu 36 pp., w tym czasie był na kursie Wyższej Szk. Wojennej i jak wielu kursantów zgłosił się na ochotnika po stronie przewrotu. W koszarach 36 pp. objął dowództwo kombinowanej kompanii, z którą pomaszerował by obsadzić natychmiast przyczółek mostowy Kierbedzia dla nadciągających oddziałów. Mjr. Korcozowicz był moim wojennym kolegą z 4 p. Leg. polskich, gdzie miał opinię odważnego oficera.

Opis utrzymuję w całości — muszę jednak uzupełnić sytuację w samej Cytadeli. W Cytadeli stały 2 pułki piechoty (21 p. p. „dzieci warszawskich” i 30 p. Strz. Kaniowskich oraz dowództwo 28 dyw. p.). Pułkami: 21-ym dowodził płk. Romuald Żurkowski z armii rosyjskiej, a 30-ym płk. Izydor Modelski — legionista; d-wem 28 dyw. p. gen. Tad. Piskor, legionista. Ciekawy jest fakt, że po stronie Piłsudskiego stanął oficer rosyjski Żurkowski, przeciw Piłsudskiemu — legionista Modelski, a generał Piskor, legionista, znalazł się poza sferą działań. Nie jest to fakt odosobniony i sprawa pewnie kłopot tym, co chcieliby widzieć z jednej strony linii przewrotu legionistów, a z drugiej — nie legionistów.

rony sztabu gen. Malczewskiego w opisaney w pamiętniku chwili ataku podjazdu szwoleżerów.

Jest godne uwagi, że, gdy pluton ten w dniu następnym znajdował się w rejonie Łobzowianki, na rogu Pięknej i al. Ujazdowskiej, po stronie wojsk Marszałka walczyła inna kompania tegoż 21 pułku piechoty, — kompania kpt. Drzewieckiego.

W ślad za oddziałami, które wkroczyły przez most Kierbedzia i przez plac Zamkowy przybył do Komendy Miasta Marszałek Piłsudski. Był to już wieczór koło godz. 9. Marszałek przebył tam kilka godzin. Po przyjęciu meldunków, odbyciu konferencji, wydaniu rozkazów i instrukcji oraz po krótkim wypoczynku mniej więcej koło północy udał się Marszałek na Pragę, na dworzec wileński, gdzie została dlań przygotowana kwatery. Tam też spędził Marszałek swą pierwszą noc walk majowych.



Niektóre oddziały wojsk Marszałka zmobilizowane na dzień 12 maja miały daleką drogę do przebycia marszem. W swym wywiadzie po wypadkach Marszałek wspomina o rekordowym czasie marszu 5 p. ułanów i 13 p. p. płk. Młot-Fijałkowskiego (68 km. z Pułtuszka do Warszawy). Dla ilustracji podam kilka szczegółów o marszu tego ostatniego, według relacji jednego z uczestników. Pułk został zbudzony alarmem o świcie 12 maja — przed codzienną pobudką. Gdy stanął w pogotowiu wydano ostrą amunicję. Pułk wymaszerował szosą na Zegrze — podano, że ma wziąć udział w Zegrzu w ćwiczeniach bojowych z kawalerią. W godzinach południowych pułk stanął w Serocku, kilka kilometrów przed Zegrzem, na dłuższy odpoczynek. Wydano obiad. Pod wieczór pułk pomaszerował dalej, minął Zegrze i na noc zatrzymał się w Jabłonnej. Kuchnie polowe wydały kolację.

Noc przeszła na biwaku przy szosie. Już wiadano, że nie ma żadnych ćwiczeń pod Zegrzem. Nadchodziły głuche wieści z Warszawy. Mówiono, że dowódca pułku zezwolił kilku oficerom przeciwnej orientacji odjechać z pułku — opowiadano z uznaniem, że jeden z nich, znany z jaskrawie przeciwnych przekonań, prosił o pozwolenie by mógł pułku nie opuszczać.

Rano, dnia 13 maja, koło godz. 6 pułk doszedł do koszar 36 p. L. A. na Pradze, gdzie zmęczony forsownym marszem miał się zatrzymać. Skutkiem nadejścia wiadomości o zbliżaniu się do Pragi od strony Wołomina rządowego 71 p. p. płk. Boruty-Spiechowicza, pułk zostaje zaalarmowany i wraz z jedną kompanią Związku Strzeleckiego obsadza wały kolejowe. Udaje mu się w porę zatrzymać 71 p. p. W tym samym czasie nadchodzi, wyła-

dowany gdzieś dalej, inny pułk Marszałka, 33 p. p. z Łomży. W tym położeniu gdy jedna kompania 71 p. p., dowodzona przez por. Lis-Błońskiego, przechodzi na stronę wojsk Marszałka, w ślad za nią przechodzą inne. Jeden batalion tego pułku wycofuje się w kierunku Centralnych Warsztatów Samochodowych.

W dniu tym 13 p. p. nie bierze poważniejszego udziału w walkach, częściowo użyty do osłony Dworca Wileńskiego, gdzie stała w tym dniu kwatera Marszałka. Dopiero 14 maja 13 p. p. bierze udział batalionami i kompaniami w ogólnym ataku grupy gen Dreszera. Jeden z batalionów (baon I), uderza z Pragi na most Poniatowskiego i odrzucając poznański 57 p. p. w silnych z nim walkach posuwa się ulicami Solec i Czerniakowską na Belweder, który atakuje od południa koło godz. 16. Atak ten wspiera ogniem artyleria z parku Skaryszewskiego (Paderewskiego), której Marszałek na tę intencję pozwolił oddać tylko 6 strażów licząc raczej na moralny niż materialny efekt.



Pamiętnik wspomina o oddziałach ochotniczych.

Już w pierwszym dniu zgłaszali się licznie ochotnicy a przede wszystkim strzelcy. Jedna kompania strzelców, na Pradze, pod dowództwem porucznika rezerwy Żochowskiego stanęła w koszarach 36 pułku L. A., gdzie została uzbrojona. Kampanii tej przypadł udział w walce z 71 p. p. rano dn. 13 maja przy 13 p. p.

Inna znowuż kompania, z północnej części miasta, na rozkaz kpt. Ferencowicza zebrała się w Obozie Kościuszkowskim saperów na Powązkach.

Ta pomaszerowała do koszar szwoleżerów, gdzie została uzbrojona i częściowo wzmocniła załogę tych koszar i wraz z tą załogą broniła się w drugim dniu walk przeciwko atakom rządowego 10 p.p. z Łowicza i 58 p.p. z Poznania, — inna jej część walczyła już w pierwszym dniu z II dywizjonem szwoleżerów, który posuwając się ulicą Wiejską wieczorem dn. 12 maja doznał niepowodzenia w walce z podchorążówką o plac Trzech Krzyży. Z tej też kompanii pochodził oddział strzelców, który wzmocnił potem osłonę gmachu Ministerstwa Kolei. Spośród tłumnie zgłaszających się ochotników z różnych dzielnic miasta, a w szczególności z Woli, również tworzone mniejsze oddziały, a nawet i kompanie, pod dowództwem oficerów zawodowych i rezerwy. Oddziały te pełniły służbę na dworcach i przy obiektach wojskowych a nawet brały udział w walce np. o lotnisko.



W swym pierwszym wydaniu książka moja ma poważne luki przez pominięcie niejako roli tłumu Warszawy. Nie poczuwam się jednak do żadnej winy, gdyż kartki swe pisałem na żywo z mego odcinka, a dziennikowi nie można zarzucać, że nie jest monografią ani szkicem historycznym. Niestety, ci co podjęli się (w bieżącym okresie) prac monograficznych, także rolę tłumu pomijają — w ten sposób popełniają błąd kapitalny, gdyż zacieśniają majowe walki do porachunków wojskowych, co całkowicie przeczy rzeczywistości. I to mniemanie się utarło — całkowicie mu zaprzeczam. Zaprzeczają temu zarówno popołudniowe wystąpienia młodzieży z okrzykami „Precz z Witosem”, „Niech żyje Piłsudski”, manifestacje w kawiarniach i lokalach stolicy z wykonywaniem przez orkiestry Marsza I Brygady, wreszcie tłumy na ulicach dn. 12 maja nie tylko za wojskami Piłsudskiego ale i przed nimi. Tłum, który się zgromadził przed pałacem (Namiestnikowskim), gdzie obradował rząd — i jego antyrządowa postawa — spowodował ucieczkę rządu do Belwederu zanim nadsięgnęły przez pl. Zamkowy oddziały wojsk przewrotu. Tłum także otoczył Komendę Miasta zanim jeszcze został aresztowany ppłk. Ocetkiewicz, legionista-reżymowiec, tępy zastępca komendanta miasta, który się wyzywał w „raportach karnych” w Warszawie. Tłum wreszcie na Nowym Świecie przy Al. Jerozolimskiej tak naciskał na sztab reżymowy, który tam się zatrzymał, że się szybko zwinął do Belwederu zwłaszcza po, zresztą niefortunnym, nalocie patrolu szwoleżerów od strony ul. Brackiej. W różnych dzielnicach zbierały się masówki, grupowały się oddziały Zw. Strzeleckiego, którym dowodził Kaz. Kierzkowski oraz milicja PPS — do bajek jednak trzeba zaliczyć wersję, że to oddziały strzelców (obok wojska) szturmowały pl. Zamkowy, że cywilny tłum zajął dn. 14 maja Belweder, do którego wkroczył nieznany por. Różański z 45 p. p. etc etc. Tak czy owak postawa tłumu Warszawy za Piłsudskim i jego wpływ moralny na rząd, a zwłaszcza na duch wojska jest bezsporny. Nieliczne oddziały młodzieży harcerskiej i ochotników „faszystów” po stronie rządu stanowią wyjątek. „Cywile” byli odważni a wielu strzelało z okien.

Jest chyba tu miejsce na zaznaczenie tworzenia się komunistycznych oddziałów po stronie przewrotu. Komendę nad nimi objął kpt. Wyderko z 36 pp LA wraz z ćwiczebną kadrą. Stan ich liczebny nie przekroczył, według moich wiadomości, 200 ludzi, ale przewrót się zakończył zanim zostały użyte.

Nie od rzeczy będzie tu przypomnieć moją rozmowę z Kubą Dutlingerem w kwietniu 1926. Był on wraz z A. Warskim i Leńskim jednym z liderów KPP. Znałem go jeszcze z mych paryskich lat akademickich. Mimo, że byłem pepesowcem a on „lu-

Komunistyczna Partja Polski

(Sekcja międzynarodowej komunistycznej)

Robotnicy, bacznosc!

Najblizsze godziny mogą nam przynieść walkę zbrojną pomiędzy rządem Chjeno-Piasta, za którym idą faszyci i najwiekszi wrogowie ludu pracujacego; a żołnierzami, zbuntowanymi przeciwko uciskowi, idącymi za obozem Pilsudskiego.

Wiedziecie, robotnicy, że cele nasze idą dalej niż cele pilsudczyków. Ale w walce tej miejsce rewolucyjnych robotników jest przeciw rządowi Chjeno-Piasta i przeciw faszystów. Baczcie gotowi do walki, robotnicy! Hasłem naszym jest:

PRECZ Z RZADEM CHJENO-PIASTA!

NIECH ZYJE RZĄD ROBOTNICZO-CHLOPSKI!

Komitet Centralny
Komunistycznej Partii Polski

ksemburczykiem”, zawsze nam się dobrze rozmawiało. Miał on i teraz zawsze ciekawe wiadomości z Moskwy przez Gdańsk. Uspekajał mnie, że nowy berliński pakt sowiecki nie jest antypolską „siuchtą”, ale że... itd. Najważniejszy jednak w tej rozmowie był atak Kuby na mnie, że my piłsudzcycy jesteście gaduły i ślamazary, że on na naszym miejscu dawno by zrobił zamach stanu, że widocznie nie widzimy, że w oka mgnieniu „faszyści” opanują władzę — a w końcu, że „dogadać się trzeba” i komuniści poprą nas.

Że Kuba był szczerze niezadowolony z reżymu dziwne nie było. Rząd uprawiał ostrą represję antykomunistyczną, aresztował jakiś komitet partii na Śląsku, wykrył nielegalną jej drukarnię w Białymstoku i tępił, jak mógł. W czasie przewrotu jednak próby samodzielnych marszów na Belweder ze strony komunistów nie powiodły się. Zresztą doświadczenia Kiereńskiego z września 1917 r., kiedy wydał ogień bolszewikom, którzy ją potem obrócili przeciw niemu, odegrały tu swoją rolę.

Aby nie wracać do tej sprawy zwrócę uwagę na apele w ulotkach KPP do poparcia Piłsudskiego, czego się partia później wypierała („Uniemożliwiającie za wszelką cenę ruchy wojsk faszystowskich!” [reżymu]). Stalin to skrytykował w miesiąc po przewrocie. „Tow. Thälmann porusza sprawę stanowiska komunistów polskich, którzy wysunęli hasło poparcia wojsk Piłsudskiego i krytykuje to stanowisko, jako nierewolucyjne. Muszę przyznać, niestety, że krytyka towarzysza Thälmanna jest absolutnie słuszną”.

Ale Kuba Dutlinger konferował z Kaz. Kierzkowskim na temat współpracy komunistów z przewrotem — z drugiej strony znów z komunistami konferował ppłk. Kaz. Stamirowski. Adolf Warski, zdaje się, że było to już po owej wypowiedzi „prothälmannowskiej” Stalina, tłumaczył, że to stanowisko władz KPP było wymuszone przez masy robotnicze. Pewnie to prawda. Widzieliśmy to i w PPS, gdzie w CKR były opory przeciw angażowaniu się, a natomiast OKR-y (okręgowe komitety) entuzjastycznie szły za Piłsudskim. Znakomita rola ZZK (kolejarzy) chyba z mych kartek jest znana. Jak wielką rolę odegrała „bitwa na torach” potwierdza gen. St. Haller, gdy pisze, że w dn. 13 maja sprawa transportów stała się decydującą. Ona zaważyła na wypadkach.

W dojściu do rzeczowego porozumienia z komunistami nie najmniejszą przeszkodą był antykomunistyczny uraz PPS. Uraz ten datował się od starego sporu z SDKPiL, który doprowadzał do wzajemnej nienawiści. Nie zapomniano im nie tylko owej „białej geśi”, jak wydrwiwali Orła Białego, ale nawet tzw. grzybowskiej prowokacji 1905 r., która miała polegać na tym, że esdeccy bo-

owcy wysuwali się na czoło socjalistycznego pochodu i oddawali strzały do policji lub w powietrze i zbiegali z toru. Od dłuższego już więc czasu miewaliśmy dwa odseparowane od siebie pochody pierwszomajowe. Dnia 1 Maja 1926 r. w czasie manifestacji zabito jednego sierżanta policji — zabójcą policjanta miał być młodzieniec ze Zw. Młodz. Kom. Kiedyś rosyjska SD potępiła terror, który uprawiała partia S.R. Należało to już do przewyżających przesądów.



Likwidacja strajku kolejowego utrzymywanego przez Z. Z. K. nastąpiła dopiero po objęciu władzy przez prof. K. Bartla, premiera nowego gabinetu w nocy z dnia 15 na 16 maja.

Poprzedniego dnia, 15 maja, przeciwnie strajk raczej był wzmożony wskutek powtórnych zarządzeń telegraficznych wydanych o godz. 10.45 przez prezesa Kuryłowicza, a także skutkiem tego, że na wielu liniach, wobec przeciwdziałania władz kolejowych lub przerwy w łączności telefonicznej, wykonanie strajku opóźniło się i rozpoczynało się na dobre w tym właśnie czasie.

Kilkakrotnie zwracał się do mnie z żądaniem likwidacji strajków dnia 15 maja p. wiceminister Eberhardt. Otrzymywałem od niego kartogramy, pisma służbowe — interweniował też osobiście.

Nie można było się przychylić do tego stanowiska ze względów wojskowych — dla jasności jednak postanowiliśmy strajk złagodzić; prezes Kuryłowicz wysłał więc depeszę o godz. 17.40 za Nr 500, o wyłączeniu spod rygorów strajkowych pociągów żywnościowych, wojskowych lub zarządzonych przez centralne władze wojskowe.

W nocy o godz. 23 wyszła dopiero z Min. Kolei depesza premiera Bartla „do wszystkich pracowników kolejowych”, z wezwaniem „do zdwojonej pracy celem natychmiastowego doprowadzenia do normalnej sprawności...”. Dwie godziny później prezes Kuryłowicz zarządził zaprzestanie strajku i przystąpienie kolejarzy do pracy.



Działania strony rządowej znalazły swoją relację w książce gen. Stanisława Hallera: „Wypadki Warszawskie od 12 do 13 maja 1926 r.” wydanej w 1926 r. w Krakowie. Autor, jako szef sztabu gen. Malczewskiego, posiadał cały materiał informacyjny, jaki sztab ten mógł mieć w swoim ręku, toteż odnośnie do działań strony rządowej z niej niejedne czerpiemy wiadomości.

Już w dniu 11 maja minister gen. Malczewski mianuje dowódcą warszawskiego korpusu (OK I) gen. Dzierżanowskiego, dotychczasowego komendanta Szkoły Sztabu Generalnego — nazajutrz zaś przywraca on zawieszonoego w czynnościach generała Wł. Zagórskiego na stanowisko szefa departamentu lotnictwa, odbierając je płk. Rayskiemu, który w dn. 13 maja walczył w oddziałach Marszałka.

Zarządzenie to okazało się w konsekwencji niezmiernie trafne gdyż, wobec odwrotu dn. 12 maja oddziałów rządowych w kierunku na Belweder i odcięcia ich od linii kolejowych i telegraficznych, lotnictwo wraz z radiostacją lotniczą na lotnisku warszawskim stało się głównym środkiem łączności rządu i jego sztabu z resztą kraju i z własnymi oddziałami na prowincji. Poza nim pozostawała możność łączności i wywiadu przez wysyłanych koleją, samochodami wzgl. innymi sposobami oficerów, którzy wobec trudności stwierdzenia przynależności do strony walczącej dość łatwo przechodzili przez linie i kursowali po przeciwnej stronie. Gen. Stan. Haller na str. 30 wspomina o oficerach, którzy się zgłaszali do Belwederu i dostawali zadania służby informacyjnej i łącznikowej z przeciwną stroną miasta.

Znalazło się między nimi wielu słuchaczy Szkoły Sztabu Generalnego, którym płk. Franciszek Kleeberg, zastępujący gen. Dzierżanowskiego mianowanego dowódcą korpusu, dał pełną swobodę decyzji po której chcą opowiedzieć się stronie. Stąd jedni zdeklarowali się po stronie Marszałka, inni — po rządowej, inni wreszcie poszli namyślać się w domu.



Gen. Zagórski opanował lotnictwo w Warszawie i ściągał lotników z innych garnizonów, jak Kraków, Poznań i tp. Po stronie Marszałka zgłosił się jeden tylko lotnik, por. Sadowski, który przyleciał ze szkoły w Grudziądzu, nie mówiąc o tych kilku, którzy, jak płk. Rayski i Płodowski, zgłosili się do naszych oddziałów lądowych.

Samoloty zostały użyte nie tylko do rozpoznania i łączności między Warszawą, Krakowem, Lwowem, Poznaniem względnie z nadchodzącymi posiłkami rządowymi, ale do najrozmaitszych zadań jak przewożenie do Warszawy odez w rządowych, drukowanych w Krakowie (przy pomocy komunikacyjnych samolotów firmy Aerolloyd), przewiezienie 2 ministrów z Warszawy do Poznania i td. Brały też one udział czynny w walce przeciw oddziałom Marszałka, bombardując mosty na Wiśle i Komendę Miasta, w szczególności gen. Zagórski miał rozkaz bombami lotniczymi przery-

wać tory na wschodnich liniach kolejowych i transporty nasze bombami lotniczymi powstrzymywać (gen. St. Haller — str. 29). Został np. zbombardowany, na szczęście bez strat w ludziach, most pod Łapami podczas transportu batalionu 5 p. leg. z Wilna mjr. Białkowskiego.

Jeden samolot wyrzucił swój ładunek bomb do Wisły.



Nie można było pomniejszać znaczenia lotnictwa mimo, że szkodziło ono skutkiem braku precyzyjności rzutów, więcej ludności niż wojskom. Zwłaszcza wobec późnego przybycia w sukurs reżymowcom dwóch poznańskich pułków artylerii i jednego dak'u (grupa Ożarów) bomby generała Zagórskiego pełniły ich zadanie.

Przewrotowcy nie mieli ani lotnictwa ani broni przeciwlotniczej. Mimo to zginęło 4 pilotów: kpt. Cz. Niekraszewicz, mjr. Konst. Koziello, kpt. Kaz. Burtowy i por. Ryszard Nossek.

Gen. Zagórski, zdjęty przecież przez MSWojsk ze stanowiska szefa lotnictwa, w jednym oka mgnienu odebrał dn. 12 maja dowództwo z rąk płk. Rayskiego, który nie wykazał autorytetu. Dlatego odzyskanie lotniska siłą stało się jednym z głównych zadań akcji naszej i udało się dopiero w ostatnim dniu. Wówczas barbarzyńskie naloty na miasto ustały.

Płk. Rayski stanął w czasie przewrotu w szeregach piechoty.



Pomiędzy innymi zarządzeniami w du. 12 maja gen. Malczewski zwołuje odprawę najbliższych wyższych dowódców do Warszawy, ściąga telegraficznie z Krakowa b. szefa Sztabu Generalnego gen. St. Hallera, zwolnionego przez gen. Żeligowskiego, wreszcie nakazuje szereg aresztowań. Jeszcze przed południem rozkazuje generał ściągnięcie do stolicy kilka pułków z dalszych garnizonów (10 p. p., 71 p. p., 26 p. p. oraz 57 i 58 p. p. i jakieś pułki z Krakowa) — jednocześnie wydaje rozkaz łącznie z Min. Kolei Chądzyńskim — zabraniający transportowania jakichkolwiek wojsk do Warszawy bez specjalnego rozkazu Ministra. Z wezwanych pułków wszystkie, z wyjątkiem 26 p. p., weszły do walki w dn. 13 maja.

Ściąganie dalszych oddziałów odbywać się musiało bądź przy pomocy radiostacji na lotnisku warszawskim bądź przy pomocy lotników — wszelkie inne możliwości odpadły.

Zarządzenia te dotyczyły oddziałów z Wielkopolski, Pomorza

i Małopolski. Dowódca korpusu w Brześciu n/B gen. Rybak miał powstrzymać transporty wojsk Marszałka z Wilna wzgl. Grodna, a 15 p. p. (pułk Kamiński) w Dęblinie zakorkować przejścia na Warszawę 3 dywizji legionowej z Lubelszczyzny. Obie te czynności całkowicie się jednak nie udały.



Organizacja sukursu poznańskiego została powierzona gen. Hauserowi, zastępcy dowódcy korpusu w Poznaniu. Dowódca korpusu, gen. Sosnkowski, który mógł tę akcję pokrzyżować, w pierwszym dniu był w Poznaniu nieobecny, w następnym już dniu został ciężko ranny w własnym gabinecie służbowym i znalazł się poza możliwością wpływania na bieg wydarzeń. Wiadomość o tym bez ujawnienia szczegółów doszła do Warszawy już po wypadkach i zrobiła wstrząsające wrażenie.

Z działań korpusu poznańskiego gen. St. Haller, w cytowanej już relacji, był najbardziej zadowolony. Były one sprężyste i metodyczne. Ruch wojsk poznańskich odbywać się mógł dwoma liniami: na Strzałków — Kutno oraz Kalisz — Łódź Kaliską.

Skutkiem opanowania węzła kolejowego Łódź przez 10 Dywizję piechoty, której dowódca i komendant garnizonu gen. Małachowski wypowiedział się w dn. 13 maja po stronie Marszałka, ruch oddziałów poznańskich kanalizuje się przez Kutno.



Zgrupowanie posiłków śląskich i małopolskich zostało powierzone inspektorowi armii gen. Szeptyckiemu, b. Ministrowi Spraw Wojskowych. Rano dn. 13 maja wyszły rozkazy telefoniczne generała, tworzące pod dowództwem gen. Galicy grupę z szefem sztabu ppłk. de Laveaux, w składzie 4 pułków piechoty, jednego pułku ułanów (3. p.), jednego pułku artylerii polowej i jednego dywizjonu art. ciężkiej z oddziałami technicznymi z Krakowa, polecając mu przejść transportem kolejowym przez Katowice — Częstochowę — Skierniewice na Warszawę. Dla uregulowania ściślejszych zarządzeń dowódcy zwołani zostali do Katowic na odprawę w czasie przejazdu transportów. W Częstochowie, gdzie schodzą się obie linie kolejowe ze Śląska, węzeł kolejowy był w ręku dowódcy 7 Dyw. piechoty, gen. Stanisława Wróblewskiego, który zdeklarował się po stronie Marszałka i zamknął obie linie oddziałami 27 pułku piechoty, powstrzymując transporty grupy gen. Galicy. Gdy gen. Galica osobiście udał się na drezynie do gen. Wróblewskiego dla wyjaśnienia sytuacji, a transporty stały, roz-

drażnienie wśród dowódców niektórych pułków, dochodzi do wyraźnego żądania zmiany dowództwa grupy. Trwało to do nocy, z chwilą zaś, gdy pierwsze transporty ruszyły w Koluszkach, został wysadzony wiadukt, który zawalił tor, tak, że roboty oczyszczające trwały do rana 15 maja.

Gdy grupa gen. Galicy dotarła czołowymi transportami do Skierniewic, zastała ją tam zawieszenie broni i została cofnięta z powrotem.



Korpus pomorski był w ręku gen. Hubischty, który zarządziwszy szereg aresztowań (m. in. gen. Sołłohuba-Dowoyno w Toruniu) tworzył grupę gen. Ładosia. Ze względu na niepewność linii kolejowej przez Mławę i Modlin, gdzie transporty mogły spotkać się z przeszkodami, używa linii na Kutno, użytej jednocześnie przez korpus poznański.

Jeden z rozkazów wydanych na skutek tych zarządzeń przez dowódcę korpusu pomorskiego gen. Wład. Hubischkę do 67 p. p. w Brodnicy n/Drw. zarządza odmarsz pułku z pobraniem żywności na 4 dni a amunicji na 8 dni ognia oraz zawiera charakterystyczne polecenie: „*Spośród oficerów niepewnych pozostawić w garnizonie*”. Dalej rozkaz podaje:

„Transport będzie skierowany przez Toruń — Kutno — Sochaczew jako transport pośpieszny. Zaznaczam, że odejście transportu winno nastąpić najpóźniej dn. 14 b. m. o godzinie 3-ej.

III. Transport musi się tak ubezpieczyć, by przy ewentualnych przeszkodach na stacjach mógł sobie torować drogę karabinami maszynowymi. Szczególnie przy zbliżaniu do Warszawy należy zdwoić uwagę i wyładowanie dostosować do sytuacji.

Przewidziana stacja w wyładowcza Warszawa, Dworzec Towarowy.

.....
V. Przed odejściem pułku dowódca pułku krótkim przemówieniem i przy wyprowadzeniu chorągwi pułkowej i odegraniu hymnu państwowego zwróci uwagę na wierność w dotrzymaniu przysięgi Prezydentowi Rzeczypospolitej, i prawemu Rządowi...”
.....

Rozkaz był pisany od ręki dn. 13 maja o godz. 19.30.

Jak widać z uwagi o oficerach i podoficerach, których należy zostawić w garnizonie, dowódca korpusu nie był całkowicie pe-

wien „lojalności” pułku. Okazało się, że ta obawa była aż nadto uzasadniona: II batalion pułku stacjonujący w Toruniu pod okiem gen. Hubischty wyraźnie odmówił posłuszeństwa i wypowiedział się po stronie Marszałka.

Zawiódł też w rezultacie i „pośpiech” transportu. Załadowany o 23.00 dnia 13 maja wyładował się o tejże godzinie dnia 14-go i to nie na dworcu towarowym ale w Ożarowie. Tam koncentrowały się wszystkie transporty z Zachodniej Polski, wyładowane na st. Płochocin, Boża Wola, Ożarów i formowała się grupa dowódcy gruzińskiej 16 dywizji piechoty gen. Ładosia.

W skład tej grupy weszły oprócz trzech pułków dywizji gen. Ładosia, jeszcze pułki piechoty z Gniezna, Inowrocławia, 56 p. p. z Krotoszyna, dwa pułki artylerii, jeden dywizjon artylerii konnej, dwa bataliony 67 p. p. z Brodnicy oraz poznańska brygada kawalerii płk. Sochaczewskiego.

Koncentracja grupy ożarowskiej nastąpiła w ciągu nocy z 14 na 15 maja, kiedy, już o godz. 4.00 rano tego dnia oficjalnie abdykował Prezydent Wojciechowski, ustąpił rząd Witosza, zapadło zawieszenie broni w Wilanowie, a władzę Prezydenta przejął marszałek Rataj.

Gen. Ładoś zawiera również rozejm z Marszałkiem Piłsudskim i, po wyjaśnieniu sytuacji, we dworze Ożarów zwołał odprawę swych generałów i dowódców pułków, udzielając kolejno głosu każdemu od najstarszego do najmłodszego. Większość wypowiedziała się zdecydowanie przeciwko dalszej walce. W ten sposób zakończyły się działania tej grupy i zażegnane zostało ostatecznie niebezpieczeństwo wznowienia wojny domowej, które zagrażało jeszcze przez cały niemal dzień 15 maja.



Zagadka Lwowa, o której mowa w pamiętnikach, nie jest też jasna dla gen. Stanisława Hallera, pełniącego przy gen. Malczewskim rolę szefa sztabu generalnego w Belwederze. Mówił on w swej relacji „Wypadki Warszawskie” o wysłanym, jeszcze dnia 12 maja rano przez gen. Malczewskiego, telegraficznym rozkazie nadesłania do Warszawy 26 pułku piech. przez gen. Sikorskiego ze Lwowa. (str. 20).

Musiały być jednak jakieś nieporozumienia skoro już tegoż dnia gen. Malczewski wysłał ze Sztabu Generalnego Hughes'em następujący telegram o godz. 11.50:

„Warszawa sztgen 204 — 60 — 12, — 5, — 11.50
do dowódcy ok nr rzym 6, — do rąk własnych — dla

uniknięcia nieporozumień wyjaśniam, że marszałek Piłsudski nie stoi w służbie czynnej i nie posiada prawa rozkazodawstwa względem żadnej części sił zbrojnych wykonanie rozkazów lub zaleceń nielegalnych jest wystąpieniem przeciw prawu i powoduje odpowiedzialność sądowo karną — minister spraw wojskowych (—) Malczewski generał dywizji 1. dz. 1281 kp tjn. z dn. 1.5.26”.

Depeszę tę doręczono o godz. 13.15.

Jak wiadomo z fragmentów pamiętnika, Dyrekcja Kolejowa we Lwowie zestawiała składy dla kilku transportów wojskowych ze Lwowa, ściągając wagony i parowozy aż z Rozwadowa.

Według gen. Stanisława Hallera wieczorem dn. 13 maja gen. Sikorski meldował o niemożności wykonania rozkazu.

Dnia 13 maja wieczorem otrzymaliśmy lotnikiem długi raport gen. Sikorskiego ze Lwowa. Mówił, że ani sam przybyć, ani dywizji piechoty przysłać nie może. Motywował to ruchami bolszewickimi na granicy państwa, zachowaniem się ludności ruskiej, odmową transportowania oddziałów nawet ze strony narodowych związków kolejowców, a specjalnie co do przysłania 26 p. p. tym, że wszyscy oficerowie pułku stanęli do raportu, i prosili o niewysyłanie do Warszawy. Co do swej osoby mówił, że w tak krytycznej sytuacji ma dowódca O. K. obowiązek pozostania na swym obszarze i że w Belwederze jest dosyć generałów już dowodzących”.

Według tegoż źródła, na ponowne żądanie gen. Malczewskiego, dnia 14 maja rano, gen. Sikorski odpowiedział, że nakazane posiłki(tj. 1 p. piechoty i 1 p. artylerii) natychmiast wysłał.

Oddziały były kierowane nie liniami przez Lublin (ze względu na obecność na drodze 3 dyw. piechoty Legionów), lecz przez Jarosław — Kraków i do Warszawy aż do zakończenia akcji nie doszły. Poszukiwane przeze mnie na torze transporty te odnalazły się dopiero w dniu 15 maja, gdy wracały do swych garnizonów.

DOK Lwów łączył się dla informowania się o sytuacji z Lublinem, jak również ze Sztabem Marszałka. Z Belwederem była łączność lotnicza. List gen. Sikorskiego, o którym chodziły słuchy w Sztapie Generalnym, przywiózł do Marszałka Piłsudskiego ze Lwowa płk. dypl. Malinowski. List ten pozostał bez odpowiedzi ze strony Marszałka. Wkrótce potem, dnia 16 maja 1926 r., gen. Sikorski wystosował depeszę do Marszałka Sejmu Rataja o następującej treści: (Julian Malicki: *Marszałek Piłsudski a Sejm*, str. 296):

„W korpusach oficerskich podległych mi pułków, do których przedzierają się nieznanie przedtem wiadomości o zawziętości dokonanej walki bratniej w stolicy państwa, o obfitym przelewie krwi żołnierza w okolicy Belwederu, o demonstracyjnym uprowadzeniu w charakterze jeńców wojennych i o więzieniu tych oficerów i szeregowych, którzy z rozkazu najwyższego zwierzchnika sił zbrojnych państwa spełnili swój żołnierski obowiązek wobec konstytucji i prawa, pogłębia się gorycz i groźba wzajemnej nienawiści. Jako dowódca korpusu, który pragnie utrzymać podległe mi oddziały w nienaruszalnym stanie moralnym, dla jednego celu armii narodowej tj. dla obrony niepodległości państwa, mam obowiązek stwierdzić, że o ile wszyscy ci żołnierze nie zostaną przywróceny do pełni swych praw, pacyfikacja zaś zrewolucjonizowanych w armii stosunków nie zostanie bezwzględnie i wielkodusznie podjęta — wówczas zarzewie wojny domowej ugruntuje się wraz z jej dla państwa katastrofalnymi następstwami. Jeżeli miałyby być podejmowana przeciwko komukolwiek z tych żołnierzy zemsta — wówczas musiałaby ona dotknąć oddziały szeregu korpusów, w każdym razie proszę by od lwowskiego korpusu zaczęto.

Lwów, dn. 16 maja 1926 r. (—) Sikorski gen. dyw.
d-ca O. K. VI.



Inaczej przedstawiała się sytuacja w Lublinie. Znając oddanie gen. Romera, dowódcy lubelskiego korpusu, Marszałkowi, jak również niezależność charakteru generała, można było liczyć na oddziały lubelskiego korpusu, w szczególności na przybycie na stronę Marszałka do Warszawy 3 Dyw. Legionowej.

Tymczasem stało się, że w chwili rozpoczęcia marszu na Warszawę, gen. Romer od 2 dni bawił na urlopie gdzieś na wsi. Gen. Zieliński, który go zastępował był zdecydowanie po przeciwnej stronie, a w dodatku szef sztabu, ppłk. Kamski, chorował (zastąpiony przez mjr. Cetnerowskiego). Informacje o sytuacji w Warszawie przychodziły aparatem Hughesa ze Sztabu Generalnego ze znanymi zarządzeniami gen. Malczewskiego. Dopiero w nocy czy też rano wzywa gen. Romera ze Sztabu Generalnego do aparatu Hughesa gen. Burhardt-Bukacki. Gen. Romera wciąż jeszcze nie ma, a gen. Zieliński odmawia z nim rozmowy, oświadczając, że nie uznaje go jako Szefa Sztabu.

Przed północą gen. Burhardt-Bukackiemu udaje się nawiązać jednak łączność wprost z Zamościem, z 3 Dyw. Piech. gen. Fabry-

cego i rozkazuje on w imieniu Marszałka ściągnąć pośpiesznie dywizję transportami kolejowymi do Warszawy.

Rozkazy dywizji pułki dostają przez wysłanych oficerów rano 13 maja — w Zamościu 9 p.p. ładuje się na skład kolejowy już w południowych godzinach, a nieco później 7 p. p. ładuje się na stacji w Chełmie. Lubelski 8 p. p., wobec choroby dowódcy, płk. Olbrychta, prowadzi major Fiala.

Zaalarmowany, powrócił ze wsi gen. Romer. Orientuje się w sytuacji. Rozmawia telefonicznie z Chełmem, z dowódcą 7 p. p., płk. M. Więckowskim. Rozmowa ta kończy się tragicznie — na dworcu w Chełmie płk. Więckowski odbiera sobie życie¹. Pułk obejmuje mjr. Dąbek i transport wyrusza. Do dowódcy 3 Dyw. Piech. wysłał generał por. Pawlickiego z tajnym pisemnym rozkazem. Dowódca dywizji oświadcza mu, że nie wykona tego rozkazu, bo ma rozkazy od Marszałka i kazał aresztować por. Pawlickiego. Wreszcie, gdy odjeżdża i 8 p. p. z Lublina, gen. Romer przybywa sam osobiście na dworzec i żegna odchodzący pułk. W nocy transporty dywizji przechodzą przez stację w Dęblinie. Dnia 14 maja pułki dywizji wchodzą w akcję w Warszawie.

Ważnym punktem węzłowym był Dęblin. Stał tam 15 p. p. płk. Kamińskiego i jakieś zakłady lotnicze. Całością dowodził gen. Frey (armia austriacka). Dęblin mógł zatrzymać transporty ze Lwowa, Chełma, Lublina. Aby temu przeciwdziałać trzeba było zająć węzeł dęblński. W tym celu mjr. Hyc (ze szkoły szt. gen. — WSW) na czele kombinowanego pociągu pancernego z załogą z jakiejś komp. szkoły podoficerskiej i 2 działami wyrusza dn. 13 maja z dworca wileńskiego na Dęblin.

1. Samobójstwo Mietka Więckowskiego pozostało niewyjaśnione. Jest faktem, że mój osobisty znajomy ppłk. Tadeusz Frank-Wiszniewski, szef sztabu 3 Dyw. Piechoty, był zdecydowanym przewrotowcem i był wówczas w Warszawie w Wyższej Szkole Wojennej (Szkoła Sztabu Generalnego) — drugim faktem jest, że d-ca dywizji gen. Fabrycy, jeden z pierwszych organizatorów Zw. Strzeleckiego przed 1914 r. — miał wiele zalet prócz temperamentu bojowego. W decydującej chwili — zachorował. Dywizja była więc całkiem „bez głowy”. Gen. Romer, dowódca korpusu lubelskiego, „austriak” ale sercem oddany Piłsudskiemu, był dziwakiem. O nim to opowiadano, że aby nie wyjść z formy dobrego piechura, co dzień robił 100 okrążeń stołu we własnym domu ze swym ordynansem i to z pełnym bojowym ekwipunkiem żołnierza. Raz po 25 okrążeniach spostrzegł się, że zapomniał tornistra pod stołem! Wobec tego z całą skrupulatnością odrabiał z powrotem te 25 okrążeń... po zapomniany tornister!

Zdaje się, że sytuacja w jakiej się znalazł on w chwili przewrotu przerażała jego zdolność do samodzielnej decyzji — rozkaz ze Sztabu Gen. w Warszawie pochodził od „nielojalnego” gen. Burhardt-Bukackiego. Gen. Romer prawdopodobnie „zbeształ” telefonicznie Więckowskiego za „poderwanie” 7 p. p. Leg. i zakazał ładowania. Potem to odwołał, ale Mietek już nie żył.

Wkracza bez przeszkód. Gen. Frey przybywa na wezwanie — 15 p.p. nie interweniuje. Gen. Frey poddaje się. „Korek” postawiono a mjr. Hyc udaje się na proszony obiad u generała do kasyna garnizonowego.

Miałem więc nowy rygiel i regulator ruchu.



Pozostawiam monografistom szczegółową analizę działań małych z punktu widzenia taktyki i strategii.

Aby im pomóc podaję, że improwizacja odegrała tu taką rolę jak w bojach spotkaniowych.

Ani Józef Piłsudski ani tzw. sztab przewrotu nie mieli taktycznego planu opanowania Warszawy ani, tym bardziej, strategicznego planu działań w ramach państwa. Strona przeciwna planu także najwidoczniej nie posiadała.

Plan Piłsudskiego, który nazywam „planem Kmicica” (płk. Skrzyński), powstał po niepowodzeniu na moście Poniatowskiego. Piłsudski istotnie nie spodziewał się takiego oporu ze strony prez. Wojciechowskiego, który uchodził za „starą gromnicę”. Plan walki powstał w ciągu najdalej jednej godziny. Konieczność rozstrzygnięcia wojskowego wymagała większych sił spoza stolicy. W rezultacie ok. 25 jednostek wojskowych wzięło udział po stronie przewrotu i około 90 — po stronie reżymu. Dlatego akcent przenosi się na tory, czułem odpowiedzialność jaka na mnie spadała.

Stwierdzam, że dla wykonania mego zadania musiałem mieć dworce kolejowe w Warszawie — i łączność. Plan Kmicica to przyjmuje, o to walczymy, i już w końcu dnia 12 maja odepchnęliśmy nieprzyjaciela od linii komunikacyjnych (poza al. Jerozolimską) — ani generał Rozwadowski, ani gen. Malczewski, ani ich sztab złożony z wybitnych oficerów służby zaborczej nie rozumiał w porę tego naszego posunięcia. Mieliśmy w ręku dworce z wyjątkiem: G-go poster. (W. Zach).

Ciekawe było by aby historyk porównał działania owego sztabu „fachowców” z naszym, zaimprowizowanym („Grupa oper. Warszawa”) z samych legionowych oficerów.

Mówi się o zabiegach mediacyjnych ze strony Piłsudskiego aby tendencyjnie ujaskrawiać jego słabość psychiczną. Świadczy to już nie tylko o ignoranctwie owych autorów. Oczywiście wiadomo, że Piłsudski chciał uniknąć wojny w szerokiej skali ze względu na destrukcyjny wpływ psychiczny, jaki wywiera ona na wojsko, ale i ze względu na sytuację zewnętrzną. po pakcie sow.-niemieckim

w Berlinie Stalin zarządził jakieś ćwiczenia w skali manewrów na granicy polskiej!

Muszę przypomnieć też ignorantom, że Napoleon nigdy nie unikał negocjacji a przed każdą wojną rokował.

Jednej akcji mediacyjnej — pierwszej — podjął się 12. V. Stanisław Cat Mackiewicz. Na kwaterze Piłsudskiego na dworcu Wileńskim uzgodniono, że wciągnie on do niej ks. Lubomirskiego, ex-regenta Polski, księdza biskupa Galla i jakieś inne osoby z Klubu Myśliwskiego — słowem z prawicy. Tego się skłecić nie dało: książę zrezygnował i misja cała upadła. O innych zabiegach wiemy. Wiemy także, że wszystkie upadały przez upór „Belwederu” i to skończyło się tym, czym powinno było się skończyć: upadkiem samego Belwederu po dużych, niepotrzebnych stratach.



Dnie bezpośrednio następujące po walkach majowych wypełniły: likwidacja wypadków, uporządkowanie władz i pogrzeb poległych podczas dni majowych.

Straty obliczała Komisja Likwidacyjna gen. Żeligowskiego a pogrzeb odbył się 17 maja.

Według kpt. Wł. Karbowskiego z Komisji Likwidacyjnej straty wojska i ludności wyniosły 205 zabitych i 966 rannych. Zginęło też 4 lotników generała Zagórskiego.

Dnia 22 maja 1926 r. po likwidacji wypadków Marszałek Piłsudski wydał rozkaz do armii, z którego cytuję zasadnicze ustępy:

„Gdy bracia żywią miłość ku sobie, wiąże się węzeł między nimi mocniejszy nad inne węzły ludzkie. Gdy bracia się waśnią i węzeł pęka, waśń ich również silniejsza jest nad inne. To prawo życia ludzkiego. Daliśmy mu wyraz przed paru dniami, gdy w stolicy stoczyliśmy między sobą killkudniowe walki. W jedną ziemię wsiąkła krew nasza, ziemię jednym i drugim jednakowo drogą, przez obie strony jednakowo umiłowaną. Niechaj krew ta gorąca, najcenniejsza w Polsce krew żołnierza, pod stopami naszymi będzie nowym posiewem braterstwa, niech wspólną dla braci prawdę głosi”.

„...wspomnienie o bojach majowych w Warszawie, o tych walkach któreśmy ze sobą stoczyli, nie dzielić lecz łączyć nas z sobą będzie, jak wspomnienie gwałtownej sprzeczki między kochającymi swą rodzinę braćmi”.



W sprawie wyboru nowego Prezydenta Rzeczypospolitej na zwołanym w tym celu na 31 maja Zgromadzeniu Narodowym z powodu wysunięcia na to stanowisko kandydatury Marszałka Piłsudskiego przez posła Ignacego Daszyńskiego z P. P. S., Marszałek wypowiedział się dn. 29 maja, wobec przedstawicieli stronnictw sejmowych, w pałacu Rady Ministrów mówiąc m. in.

„Ostrzegam, nie zawierajcie z kandydatem na Prezydenta układów partyjnych. Kandydat na Prezydenta musi stać ponad stronnictwami, winien umieć reprezentować cały naród. Wiedźcie, że w przeciwnym razie nie będę bronił Sejmu i Senatu, gdy dojdzie do władzy ulica. Nie może w Polsce rządzić człowiek pod terrorem szuj i temu się przeciwstawiam. Wydałem wojnę szujom, łajdakom, mordercom i złodziejom i w walce tej nie ulegnę...”

„Z kandydaturą moją róbcie co się wam podoba. Nie wstydę się niczego, skoro się nie wstydę przed własnym sumieniem. Jest mi obojętne wiele głosów otrzymam...”

Dnia 31 maja, po dokonanych wyborze Marszałka Piłsudskiego na Prezydenta, Marszałek odmówił przyjęcia tej godności. W odnośnym liście do Marszałka Rataja dziękuje za wybór stanowiący jak pisze Marszałek, „zalegalizowanie moich czynności i prac historycznych, które — niestety — dla mnie spotykały się przedtem z oporem i niechęcią dosyć szeroką”. Motywując odmowę przyjęcia godności Prezydenta pisze, że nie potrafi „żyć bez pracy bezpośredniej, gdy istniejąca konstytucja od Prezydenta taką właśnie pracę odsuwa i oddala. Inny charakter do tego jest potrzebny”.

Dnia 1 czerwca nastąpił więc ponowny wybór Prezydenta. Wybrany profesor Politechniki we Lwowie, dr Ignacy Mościcki, kandydat Marszałka Józefa Piłsudskiego, znakomity uczony polski, organizator i twórca Chorzowa i Mościc. Marszałek poznał Go jeszcze w czasie swej pracy konspiracyjnej w P. P. S. i swych tułaczek po Londynie i Szwajcarii.

Uroczysty akt wyboru Prezydenta i Jego zaprzysiężenia zamknął oficjalnie burzliwy okres polskiego majowego przełomu.

POSŁOWIE

Nie jestem zwolennikiem pisania posłowania na zakończenie książki. Zawsze mi się wydaje, że wkraczam w domenę czytelnika, który własne z lektury chce wyciągnąć wnioski. Myślę, że jest to signum dobrego wychowania autora usunąć się dyskretnie w chwili, gdy czytelnik sam z sobą omawia treść książki.

A jednak czynię inaczej wbrew własnym swoim zasadom i ciąży na mnie obowiązek by z tego się wytłumaczyć. Oto szereg autorów, którzy może nic nie widzieli i może wiele najsprzeczniejszych rzeczy słyszeli na temat przewrotu, zaczęło się wypowiadać. Wielu spośród nich nie oswoiło się z zasadą, która ustala w logice związku przyczyn i skutki. Bardzo wielu od skutków przechodzi do przyczyn — jest to sposób błędny, który Francuzi malowniczo nazywają mette la charrue devant les boeufs — woły zaprzęgać z tyłu za pługiem, a nie przed nim. Oczywiście tak dziejów nie może przedstawiać prawdziwy historyk — tak natomiast czyni propagandzista i nieszczęściem krajowej szkoły historycznej jest to, że zmyliła te dwie różne role, historyka i propagandzistę łącząc w jednej osobie. Aby czytelnik w tym natłoku fikcji łatwo się nie zgubił, zmuszam siebie do napisania do mej książki posłowania.

Wiemy, że po zwycięskim przewrocie majowym przeżyliśmy okres, w którym zmagali się ze sobą ludzie i koncepcje, że były w nim kolizje i zakręty, konsolidacje i rozdzwieki. Przyjęło się nazywać ten okres sanacyjnym dlatego, że wyraz „sanacja moralna” padł z ust marszałka Piłsudskiego, jako hasło nowych rządów i jako potępienie starych.

Okres ten nie był jednolity lecz szedł ku dyktaturze. Postawa moja wobec niego nie jest dla nikogo w Polsce tajemnicą — zdeklarowałem się przeciw dyktaturze sanacji, a w latach 1937-39 stworzyłem pismo, które zwalczało ją konsekwentnie i zdecyd-

wanie. Nazwałem je „Czarno na Białem”, było ono kilkanaście razy konfiskowane a ja, jego redaktor, nie uniknąłem aresztu. Pozostałem w historii wrogiem sanacji, którą z obozem Piłsudskiego przyjęto utożsamiać. Ale nie może to w żadnym wypadku usprawiedliwiać wypaczania i tendencyjnego naświetlania historycznych faktów, a tak przecież czynią ci, którzy dlatego, że wrogo oceniają sanację, bez skrępułów fałszują historię przewrotu.

Dlatego chcę ustalić pewne prawdy, które wydają mi się bezsporne.

Bywają chwile kiedy nawet nieznaczna mniejszość personifikuje sobą cały naród.

Bywają chwile, w których jeden człowiek w sobie samym czuje się ojczyzną.

Być może — niech to oceniają inni — są to objawy odchyłeń psychicznych.

Być może. Ale zapytam w takim wypadku czy naród nie potrzebuje takich wariatów? Czy nie zdarza się, że im wiele w historii zawdzięcza?

My, legionści, nie wypełniliśmy sobą w pełni szeregów przewrotu majowego, a w nie jednym wypadku nie zabrakło nas i po przeciwnej stronie. Ale nadaliśmy temu przewrotowi własny ton.

A nie było jeszcze wówczas czwartych brygad, tych „pośmiertnych wydań” legionów polskich, które stały się tak liczne po przewrocie majowym: tych co lgnęli już nie do idei ale do żłobu. Tych, co oblicze legionowe zmienili.

I dlatego przewrót majowy można uważać za ostatni czyn naprawdę pur sang legionowy. Był to, jak w „Czerwonym Sztandarze” naszych młodzieńczych lat „zemsty grom — ludu gniew”. Za co zemsta? Czemu gniew?

Zemsta i gniew za sponiewieranie idei, którą pielęgnowaliśmy w sercu i za którą, tak spokojnie, tak nawet ochoczo — przyjmowaliśmy śmierć na polach bitew. Zemsta za poległych towarzyszy boju, gniew za szarganie naszych ideałów.

Można dziś — nie brak nigdy rozsądnych ludzi po fackie — powiedzieć żeśmy poszli w majowy ogień bez programu. To będzie zupełną prawdą. Programu nie dyskutowaliśmy. Zastąpił go „zemsty grom, ludu gniew”.

Byliśmy małą i nieznaczną mniejszością w kraju — powtarzam to z naciskiem. Ale jak w kropli deszczu widać słońce, odbijała się w nas cała Ojczyzna. Ojczyzna — to nie jest tylko jakieś dziś — z panami radcami i dworskim fonałem — to także wczoraj i jutro.

Jeżeli zrywa się narodowi więzy jego tradycji, to twierdzę z całą pewnością, że się z niego robi masę etniczną, miazgę ludzką.

Ale im bardziej była mała ta mniejszość tym ostrzej i bezwzględniej ona zwalczać musiała tych, których uważała za resztę narodu, choć była ta reszta ogromną masą. Niech psychologowie w tym rozdziela, co było w nas kompleksem niższości a co kompleksem wyższości, zresztą mniejsza o to.



Niech nikt nie wierzy, że legioniści rekrutowali się z młodzieży, którą bawiła gra w Indian. Pseudonimy sienkiewiczowskie Kmiciców czy Jurandów były tylko wyrazem tęsknot bohaterskich a nie młodego awanturnictwa. Młodzież legionowa wyznawała ideały demokracji polskiej. Jej akademickie środowiska — Filaretów i Promienistych — owiane były duchem Józefa Piłsudskiego, jej oczy były zafascynowane jego postacią. Było to pokolenie, które już wyzwoliło się z czaru sienkiewiczowskiego eposu i żyło lekturą Stefana Żeromskiego, Stanisława Wyspiańskiego, Andrzeja Struga. Obce mu były stadiony, wrzuszało ramionami na estetykę wyczynów sokolich zespołów — żyło w napięciu duchowym, którym władnie wstrząsały myśli Kelles-Krauzza, Tytusa Filipowicza i Józefa Piłsudskiego. Pokolenie to zdobyło w ideowych zmaganiach prawdę, że Polska niepodległa stać się może gdy tylko przewyciężą najpierw w sobie rozkład szlachecki i że konieczną jest dla niej transfuzja krwi nowej, krwi ludu.

Ta prawda mojego pokolenia musiała się przebijać jak przez Scyllę i Charybdę między polonofilem Karolem Marksem i polonofobem Różą Luksemburzką i także niejedną pokonać herezję. Przejść musiało przez tę cieśninę i zanim chwyciło za broń i po to by podnieść tę broń dla Polski Niepodległej i Ludowej.

Pokoleniu temu los nie oszczędził dramatów. Jednym był ten, który tak malowniczo ukazał Wyspiański w finale swego „Wesela”. Dramat Jaśka, który swym głosem nie obudził tańczących weselnych par pod dźwięki Chochota, gdy usłyszał tętent z Krakowskiego gościńca...

Wyszliśmy więc w pole zawczasie, wyszliśmy samopas z nim rozbudziły się weselne pary. Ale Nemezis dziejów nie dała nam na to czekać.

Drugim, wtórnym już dramatem było, że wszystko co biernie w narodzie wypetzało, by się kłaść w poprzek naszej drogi. Niedozbrojeni, niedoszkoleni, brawurą i krwią płaciliśmy za prawo walki z odwiecznym wrogiem. Ale to nie było tak bolesne, jak walka z przeważającą inercją odwiecznych nawyków niewoli, które się nagromadziły przez lat 125 trójzaborowej historii. Pytanie, czy jeszcze 25 lat by nie starczyło, by zrobić z nas ludzką miazgę bez oblicza, pozostanie chyba na zawsze bez odpowiedzi.

Trzecim, najdotkliwszym, bo uderzającym w samo jestestwo naszej idei dramatem było to, że my, demokraci ludową Polskę tworzący, widzieliśmy dziwny kontrast między ludem naszych urojeń a ludem rzeczywistym, który nam mówił o wrogu, „nasi” i „byli tu nasi, byli tu i wasi...”

A gdy stanęliśmy już wreszcie u progu naszej wojennej kalwarii, gdy rozpostarła się nad nami tęcza zwycięstwa, nasz wódz Józef Piłsudski pierwszym aktem konstytucyjnym oddał zdobyte państwo ludowi polskiemu.

I tu podniosła się kurtyna nad czwartym aktem dramatu: lud nie rozumiał. Nie zrozumiał, że jego to czas przyszedł i oddał swe głosy tym, co byli mu najbardziej obcy. Oddał je tym, dla których Polska powstała „ni z tego i ni z owego”, tym, którzy nic dla niej nie poświęcili a nawet, co jest najgorsze, bali się stracić w Polsce wolnej, demokratycznej i ludowej te cenne przywileje, na straży których stała jeszcze przed chwilą zaborcza władza.

Był to dla nas głęboki cios w serce. Nie wiedzieliśmy wówczas, że w historii zjawisko to miało już swe precedensy. Że właśnie wywołony przez republikanów Wiosny Ludów lud Francji, obdarzony prawem wolnych, wieloprzymiotnikowych wyborów, wybrał zgromadzenie narodowe, w którym na 800 deputowanych nie było nawet 100 republikanów i zgromadzenie było prawicowe i monarchistyczne dla stworzenia którego szkoda było przecież jednej kropli rewolucyjnej krwi. I gdy w dodatku naród rozłożony był na partie i koterie właśnie w czasie, gdy konieczność scalenia wszystkich sił była jak najbardziej konieczna, gdy mord Prezydenta ujawniał nieobecność elementarnego legitymizmu, rozpacz zaczęła się wśczać w nasze żyły. I wówczas — z tej rozpaczki zrodził się w nas czyn majowy — próba naprawy i ostatni rozrachunek ze sobą samymi, z własnymi głęboko wpojonymi iluzjami przeszłości. Było to Wyspiańskiego „Rozkaz Słowo — Słowo Rozkaz” — zapewne historyczna konieczność.

I na tym skończyć powinienem to postowie — jako moją spowiedź osobistą i spowiedź zbiorową.

Czy nie powinienem jednak odpowiedzieć na pytanie tych co z naszym czynem majowym wiązą późniejsze zjawiska, właśnie dlatego, że przeciw nim walczyłem?

Walczyłem z dyktaturą. Nie jest prawdą, że była ona celem przewrotu majowego. Jest także nieprawdą, że była ona jego nieodzownym skutkiem. Długi był czas jej powstawania w okresie pomajowym. Uważnie patrząc na wypadki musimy dostrzec wiele czynników, które do niej doprowadziły. Byłoby niewybaczalną aberracją twierdzić, że Józef Piłsudski w ogniu przewrotu spalił

swoje demokratyczne sztandary. Odrzucał wszak od siebie i władzę naczelną i honory: odrzucał je jako trofea i jako łup zwycięzcy.

Jako adiutant Józefa Piłsudskiego w pewnym okresie mego życia znałem dobrze te jego subtelne skrupuły.

Był on humanistą tak dalece że nawet rola ustroju była dla niego rzeczą wtórną — a pierwszą zawsze byli ludzie. Sądzę, że mylił się, że godni naszego narodu mężowie stanu w każdym ustroju dobrze poprowadziliby naród. Widział przecież nieszczęśliwe skutki przedmajowego ustroju: ustroju prawdziwej demokracji bez prawdziwych demokratów. Chciał naprawdę odrodzenia człowieka — zrobiono z tego jego wyznania cyniczna wyzwisko — człowieka dla demokracji a nie ślepego narzędzia dyktatury. Ale łatwiej jest zmienić ustrój niż człowieka, ustrój także człowieka z trudem zmienia. Jest to problem wciąż jeszcze otwarty.



Dyktatura opiera się na rozbudowanym aparacie przemocy i zupełnym okiełznaniu wolności.

Piłsudski opierał się na autorytecie własnym: był dyktatorem, który swobodnie, w szarej kurtce strzeleckiej, chodził sam Alejami Ujazdowskimi.

Dyktatura jest zjawiskiem odwiecznym i ma już swoje prawa. Dyktator nie może żyć bez otoczenia, nie może rządzić ponad swym otoczeniem, wreszcie przestaje widzieć inaczej jak przez swe otoczenie. Kształtowanie się tego otoczenia nie jest przedmiotem mego postawia. Niech mi wolno będzie tylko podszepnąć, że było ono oderwane od legionowych mas. Czwarte brygady? Pretorianie? Passons...

I jeszcze jedno: w osobie dyktatora splata się socjologia z biologią. Człowiek choruje, starzeje się, nabywa różne nawyki, umiera — a władzę sprawuje do końca. Wraz z nim przeżywa te same degradacje.

To jedno wystarczy, by żaden naród nie godził się na dyktaturę, nawet najcnotliwszego z cnotliwych.

A już pod żadnym pozorem na to by dyktatura była dziedziczna — dziedzic dyktatury, pozbawiony autorytetu, szuka oparcia w przemocy i jest nieszczęściem dla narodu. Taka jest patologia dyktatury.

Ale my, ludzie przewrotu majowego, nie ponosimy za to winy.

Rok 1965

January GRZĘDZIŃSKI

SPIS RZECZY

PRZEDMOWA AUTORA DO II-GO WYDANIA	7
<i>Chmury przed burzą</i>	9
<i>Na ulicach Warszawy</i>	18
<i>Na torach</i>	30
<i>Ostatni dzień</i>	50
<i>Zakończenie</i>	55
DOPISKI	61
POSŁOWIE	103



A C H E V E D'IMPRIMER
L E 12 NOVEMBRE 1965
S U R L E S P R E S S E S D E
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, R U E S T E P H E N S O N,
P A R I S (XV I I I^e)

Dépôt légal : 4^e trim. 1965

Institut Litteraire
Paris
26.11.66.

SERIA „ D O K U M E N T Y ”

- Nr 1 **O kulcie jednostki i jego następstwach (1 F)**
Nr 2 **Przemówienie 1 Sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki na VIII Plenum 21.X.1956. (1 F)**
Nr 3 **Przyczyny rewolucji węgierskiej. Testament Haricha (wyczerpane).**
Nr 4 **Warszawa-Kijów (1 F)**

W „BIBLIOTECE KULTURY”

- Nr 5 **Program Związku Komunistów Jugosławii. Krytyka „Komunista” (8 F)**
Nr 6 **Kultura Masowa — Praca Zbiorowa w opracowaniu Czesława Miłosza (6 F)**
Nr 7 **Wiktor Sukiennicki: Kolumbowy Błąd — Szkice z historii, teorii i praktyki sowieckiego „komunizmu” (9 F)**
Nr 8 **Węgry. — Praca zbiorowa w opr. i tłum. Czesława Miłosza (9 F)**
Nr 9 **Adam Ciołkosz: Róża Luksemburg a rewolucja rosyjska (15 F)**
Nr 10 **Andrzej Stawar: Pisma ostatnie (wyczerpane)**
Nr 11 **Sześć lat temu... (Kulisy polskiego Października) (10 F)**
Nr 12 **Witold Jedlicki: Klub Krzywego Koła (10 F)**
Nr 13 **Wiktor Sukiennicki: Biała księga (12,75 F)**

